

Wzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

czas 2552/1978/25

O KONSTANTYM ILDEFONSIE GAŁCZYŃSKIM

Poezja nie umiera

Zygmunt Mikulski str. 12

Zróbmy coś!

Ireneusz J. Kamiński str. 4

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 10 XII 1978 NR 25 (667)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Jan Demidowski



Henryk Groszyk



Sławomir Kozłowski



Albin Koprucki



Zygmunt Mańkowski



Władysław Wójcik

Fotografował A. Drózd

DROGA DO PARTII NARODU

„KAMENA”: 15 grudnia 1948 roku rozpoczyna się w Warszawie Kongres Zjednoczeniowy, na którym z połączenia PPR i PPS utworzona została Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Niezłoty 16 grudnia 1948 roku z połączenia SDKPiL i PPS-Lewicy powstała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, która na III Zjeździe w 1952 roku przyjęła nazwę: Komunistyczna Partia Polski (KPP). Dwa doniosłe wydarzenia, dwie wielkie rozprawy.

Z. MANKOWSKI: Trzeba wyjść od pewnych generatów. W ruchu robotniczym od zarania jego dziejów obserwujemy dążenia integracyjne, dezintegracyjne. Marksowska definicja klasy robotniczej, zawarta w Manifestie Komunistycznym stwierdza że jest to klasa najbardziej jednolita, powiem: „złoty” „bezwarstwowa”. Klasa ta według Marksa charakteryzuje się jednolitym stosunkiem do narzędzi produkcji. Jednolitym w odróżnieniu np. od chłopów, co do których kwestionowano nawet fakt, czy jest to klasa: na skutek wielkiego rozwarstwienia tej grupy społecznej utrudnione i często wręcz niemożliwe, było działanie integracyjne i solidarne. To samo stwierdzenie można wysunąć wobec burżuazji, której stosunek do narzędzi produkcji zależy od stanu posiadania.

Nasuwa się więc pytanie: skądże u zarania międzynarodowego ruchu robotniczego w klasie robotniczej pojawiały się różne poglądy czy postawy, a nawet tworzyły się pewne organizacje, które wzajemnie z sobą polemizują, a nawet się zwalczają?

Przy wyjaśnianiu tego zjawiska początkowo sięgano do przykładu angielskiej klasy robotniczej, która w dużej mierze, chcąc nie chcąc, żyła z dochodów osiaganych w koloniach. Oczywiście większość tych dochodów zagarniała burżuazja, niemniej nawet te resztki, które otrzymywali robotnicy, stawały ich w lepszym położeniu niż robotników tych krajów, które kolonii nie miały. Istad też ro-

W 30-LECIE ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO RUCHU ROBOTNICZEGO

Dyskusja w redakcji „Kamena”

W przededniu 30 rocznicy zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego odbyła się w redakcji „Kamena” dyskusja, w której wzięli udział: prof. dr hab. Henryk Groszyk (dyrektor Instytutu Historii Teorii Państwa i Prawa UMCS), doc. dr hab. Albin Koprucki (dyrektor Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych), doc. dr hab. Sławomir Kozłowski (działacz Wydziału Ekonomicznego UMCS), doc. dr hab. Zygmunt Mańkowski (z-ca dyrektora Instytutu Historii UMCS) oraz działacze ruchu robotniczego, delegaci na Kongres Zjednoczeniowy — Jan Demidowski i Władysław Wójcik. Z ramienia redakcji w spotkaniu uczestniczyli: Tadeusz Gwardak, Marek A. Jaworski i Zygmunt Mikulski.

botnicy angielscy byli podatni na wpływy ideologii burżuazyjnej.

Później w socjologii pojawia się termin „arystokracja robotnicza”. Wchodzący w jej skład, a mam tu na myśli wyspecjalizowanych fachowców, byli hołubeni przez burżuazję i wykorzystywani do dezintegracji w ruchu robotniczym. Burżuazja obawiając się utraty swojej przywilejowanej pozycji — a przykład zwycięskiej Rewolucji Październikowej był tu nadzwyczajnym wymownym — wszelkimi siłami starała się w ruchu robotniczym rozbić tendencje jednościowe. Każda metoda i każde dywersyjne ideologiczne powtarzanie — każdą metodą, która mogłaby temu celowi służyć, wykorzystywano do maksimum.

Nasuwa się tu przypadek Brensteina, który w swych poglądach wyrażał światowe tendencje mające na celu uśmierzenie dążeń klasy robotniczej, nadawanie im kierunku rewizjonistycznego, a nie rewolucyjnego, szczególnie groźnego dla istniejącego porządku społecznego.

Podobnie przedstawiała się rzecz i na gruncie polskim, ale tutaj doszedł jeszcze jeden czynnik niebagatelny: walka o niepodległe państwo. Dążenia niepodległościowe nie zawsze dądzą się pogodzić z pryncypiami internacjonalizmu.

A. KOPRUCKI: Właśnie w XIX wieku mieliśmy kilka zrywów narodowo-wzwoleńczych, którymi głównie kierowały klasy posiadające zwłaszcza szlachta, SDKPiL, aby nie być posadzoną o nacjonalizm, wyrażnie akcentowała internacjonalizm. Ale nacjonalizm, a patriotyzm to dwie zupełnie inne sprawy.

Z. MANKOWSKI: Dziś jest dla nas sprawa oczywista. W naszych rozważaniach omawiamy jednak przełom wieków, kiedy to polski ruch robotniczy dzielił się na dwa nurty, sprzeczne ze sobą w sprawach pod-

Dokończenie na str. 8-9

Waldemar Żelazny *)

JESZCZE TYLKO POLSKA

Kiedys i ty opadniesz z sił
Pa raz pierwszy nie cudze ale własne
nogi całować będziesz

Tak łatwo przetłumaczyć krew na wino
oddech na milczenie
język na wargę
wargę na piasek

Tak łatwo zostać ptakiem
Tak łatwo wrócić do ziemi
Tak trudno być ptakiem
Tak trudno oderwać się od niej

Tu spaceruje paw i kura domowa
nagi król i wystrajony błazen
Tu słońce puszcza ikre światła
a mrówka na pierwszej zmianie idzie
do fabryki

Tu dziewczyna odmawia ci ręki
Nagi - posłuszeństwa
Staruszka - pacierza

Podarty parasol ciała już nie chroni
przed deszczem, śmiechem ani miłością
Nawet prawda z której był zbudowany
wyszła na wierzch

W przestrzeń
nie zmierzona ani okiem ani stopą
W przestrzeń o której milczą wszystkie
wymiry życia

Jeszcze tylko Polska - serce Europy
normalnie bije w tobie

KUBA 1959

bo kiedy patrzysz prawdzie między oczu
i cudzy gniew dojrzewa w twoim sadzie
cukier smak soli ma a wargę kształt rany
słońce na plecach wschodzi ciępkim batem

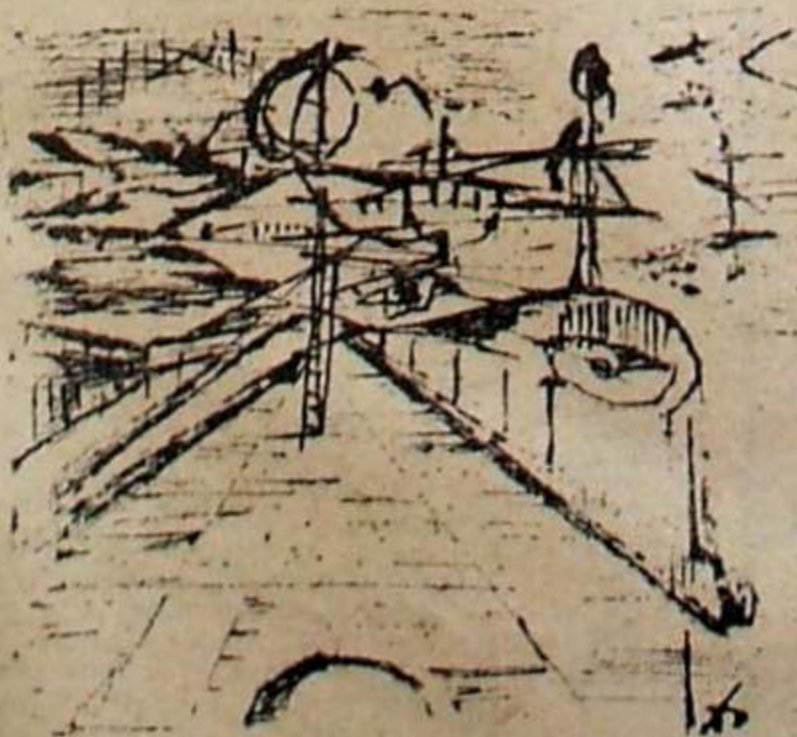
bo kuba rzekł ernesto „che” guevara
to wielkie drzewo co gnije się lecz nie zlamie
mieszka w niej ból i ramiro valdes
pieśń o wolności choć w gardle tkwi kamień

dzieli nas kolor skóry lecz kolor krwi jednaki
o jednym marzy żołnierz i dziewczę przy świecy
z otwartym okiem śpią zmęczone dzieci
by biała noc nie weszła nożem w plecy

bo trzeba czasu by kolana dziewcząt
poczuły smak łagodnej błoni
by usta kuli nauczone krzyku
poznały chwilę w której słów zabraknie
bo trzeba czasu by pancho gonzales
znów zasiadł z kumplem przy chmielowym piwie
wróciły serca schowane pod pancierz
i gesty błogie których serce laknie

bo trzeba czasu aby słowo kuba krwią
nie pachniało lecz cukrową trzciną
w okopach nocy zamiast z karabinem
żołnierz chciał leżeć ze swoją dziewczyną

*) Autor otrzymał ostatnio II nagrodę, (i nie przyznano) w konkursie na cykl wierszy zorganizowanym przez redakcję „Faktów 78”.



Rys. D. Opolski

SAM osiedlowy, tak zwany ogólnospółczyński. Jatką, warzywniak, delikatesy, na jakie tylko nas stać. Kosmetyki i chemia domowa. Obiad spleśnie nie potykany w stołówce pracowniczej. Biesiada, której oddajemy się w restauracji. Oranżada i syfon, którymi nazajutrz leczymy kaca. Butelka mleka ustawiona rano przed drzwiami naszego M. Piekarza, która dla nas wytwarza chleby, bułki oraz ciastka. Fryzjer ondulujący nasze zmęczone kobiety w ośrodku „Praktyczna Pani”, zegarmistrz tamże.

Wszystkim tym zarządza w Lublinie, lepiej czy gorzej, Lubelska Spółdzielnia Spożywców. Od przeszło dwu lat — zgodnie z ogólnokrajową reformą rynku wewnętrznego w 1976 roku — firma potężna. I bezkonkurencyjna, choćby dlatego, że jedyna w mieście. Firma, która wchłonęła pięć przedsiębiorstw państwowych, liczy 6000 pracowników, w tym 600 administracyjnych, samych dyrektorów 13, obrotu około 5 miliardów złotych rocznie, a punktów handlowych, gastronomicznych, usługowych i produkcyjnych ponad 550.

Ocena rezultatów finansowych LSS po reformie jest dosyć łatwa, albowiem Spółdzielnia znacznie przekracza plany wartościowe i obniża koszty operacyjne (w takim na przykład pleczywie zeszła ostatecznie z 16 proc. kosztów zbytu na 11 proc.). Ocena rezultatów LSS od strony zadowolenia społecznego, jest bardzo trudna, albowiem reforma organizacji rynku zbiegła się akurat z perturbacjami zaopatrzenia, niezbyt zależnymi od spółdzielczości spożywców.

Pozostaje wierzyć na słowo dyrektorowi nacelnemu LSS, Piotrowi Drzewieckiemu, że umocnienie firmy spółdzielczej złagodziło ogólną sytuację rynkową, w przeciwnym razie mogło być gorzej. Zawsze to łatwiej dopatrzeć branży, gdy się ją całą ma w jednym ręku.

Nasz wielki sklep

Maciej Podgórski

Weźmy za przykład piekarstwo. Przedtem trwały wojny na linii handel — producent z tytułu kto winien. Biedny prezydent tylko ciągle narady organizował w tej sprawie i bez skutku, bo każdy bronił swego podwórka, piekarz swego a sklepowy swego. Dziś temat zniknął z obrad prezydenckich. Kiedy piekarz, konwojent i sprzedawca są w jednej firmie, ustawiono odpowiednio zadania premiowe, wprowadzono system przerzutów pieczywa między sklepami, zaczęto wszystkich rozliczać ze zwrotów i wszyscy poczuli się jednakowo odpowiedzialni. Zwroty spadły. Ze to wyduszono premię? Ale jednak spadły, co mogłoby oznaczać, iż ludzie w Lublinie częściej mają możliwość zakupić świeże pieczywo.

Jest to krzepiąca historyjka, którą mi opowiedziano. I takie byłyby m. in. zalety stworzenia dużego przedsiębiorstwa. Natomiast powstają problemy zarządzania owym kolosem, który został zlepiiony. Blura znajdują się w dziesięciu punktach miasta, a wiadomo, że już nie zdaje egzaminu dyrygowanie ludźmi na zasadzie: kara za popełnione winy, nagroda za zdobyte osiągnięcia. Trzeba mieć codzienną łączność w górę i w dół, dialog zapewniony.

W gabinecie dyrektora Drzewieckiego widzę urządzenie umożliwiający coś w rodzaju telekonferencji, właśnie podłączane. W załatwianiu są radiotelefony dla części wozów dostawczych. Dyrektorowi marzy się, żeby firma miała radiostację, do której można by podłączyć ze dwieście obiektów...

Teraz rozdzielił mi się prowokacyjny kwestia. Ludzie demokratycznie przystępują do wspólnej działalności gospodarczej. Wnoszą wkłady, którymi się obraca i które dają licząc się dywidendy. Firma zdobywa możliwości konkurencyjnego manewru. Taka byłaby ogólna idea spółdzielni.

Tymczasem wkłady członków (po 300 złotych od osoby) symboliczne, dywidendy (8 proc.) jeszcze bardziej. Ceny stałe, rozdzielniki sztywne. Manewr żaden. Konkurencja żadna. Spółdzielczość pozorowana? Rodzaj państwowej instytucji raczej?

Jest odpowiedź na tę kwestię, a nawet jest odpowiedź kilka. Konkurencji, owszem, nie ma; są obecnie na rynku sami. Ale przecież żyją rozliczeni przez władze i społeczeństwo. Pod pręgierzem opinii publicznej, w tym naszej kochanej prasy. I nie do pomysłenia na przykład, żeby sobie robić żarty z ciągłości zaopatrzenia w pieczywo. Ten pręgierz zastępuje konkurencję.

O manewrze. Lublin ma patrona w lubartowskiej hucie szkła, dlatego w Lublinie szkielek pod dostatkim, choć przecież towar deficytowy-rozdzielnikowy, gdzie indziej poszukiwany. Oto i sposoby zdobycia dodatkowej masy towarowej na konkretny rynek.

Rola członków LSS, których jest 42 tysiące, a spośród nich 2,5 tysiąca udziela się w komitetach sklepowych. Każdy sklep ma taki komitet. Pewno, że czasem personel sklepu zbył się za swoim komitetem żywa. Pewno, że niektórym tylko o to chodzi. W każdym razie anulowano uprawnienia

komitetów do świadczeń zaopatrzeniowych ze strony sklepów.

Nadzór administracyjny nad rozbudowaną siecią sklepów jest coraz trudniejszy obecnie, toteż działania kontrolne i samorządowe komitetów sklepowych oraz członkowskich komitetów rejonowych są coraz ważniejsze obecnie. Żeby ekspedientki nie chowały pod ładę i kultura obsługi się podnosiła.

— Te dwa i pół tysiąca członków komitetów — powiada dyrektor Drzewiecki — to armia społeczników, którym nie nie placimy, najwyżej zorganizujemy dla nich wycieczkę, pokaz, kurs jakiś i podziękujemy. Latnieje masa ludzi, którzy naprawdę się swoją rolą niesamowicie przejmują, lubią to, poświęcają czas.

Myślę, że instytucja komitetów sklepowych odpowiada na potrzebę samorządności i demokratyzmu w życiu społecznym, choć może nie każdy z nas jeszcze do tej potrzeby dorósł. I w tym względzie owe 300 złotych wkładu członkowskiego do LSS przestaje być kwotą symboliczną i tylko, stwarza pewną selekcję ludzi. Być może wylania autentycznie zainteresowanych ideą spółdzielczości, a nie samym jedynie merkantylizmem.

Fundusz członkowski zresztą aktualnie wyraża się kwotą 7,5 miliona złotych, które wchodzi w fundusz obrotowy Spółdzielni. Ponadto z części wygosparowanego zysku odpisują się środki na tak zwaną działalność z członkami — kursy, pokazy, spotkania (głównie w siedmiu ośrodkach „Praktycznej Pani”, gdyż wśród członków LSS jest 60 proc. kobiet. Przeszło 25 tysięcy ludzi przewinęło się w trakcie tegorocznych imprez spółdzielczych. Na tym polega kontakt firmy ze społeczeństwem.

Józef Czapski, po wojnie wieloletni sekretarz WK SD w Lublinie i poseł na Sejm PRL, zasłużony

wielec działacz LSS, którego mi zaproponowano jako rozmówcę, powiedział tak:

— Myśmy jako LSS zrozumieli od razu w 45 roku, że nie tylko ekonomicznie musimy wchodzić w społeczeństwo, ale łapać ludzi do aktywności samorządowej, rozwijać pracę wychowawczą, kształtować członków w ideach postępu i oświecenia, a także codzienną kulturę. I dzisiaj też wiemy, że do ludzi dociera się nie poprzez referaty, lecz poprzez obcowanie choćby w komitecie sklepowym, wyrabianie praktyczne poczucia społecznej własności.

Jest niewątpliwie prawdą, że LSS od początku, jeszcze w czasach, gdy nazywała się Lubelskim Stowarzyszeniem Spożywczym, przyswiewała cele łączenia działalności gospodarczej z ideową. Gdy 19 stycznia 1913 roku powołano Stowarzyszenie (15 marca otwarto w Lublinie pierwszy sklep), w gronie założycielskim znaleźli się m.in. Witold Giełżyński, Jan Hempel, Paweł Jankowski, Wanda Papińska (siostra Hempela) i Oktawian Zagrobski — członkowie lub sympatycy PPS-Lewicy.

Ludzie ci grupowali się wokół redakcji „Kurier Lubelski”, na którego łamach, w styczniu 1913 roku, pisał Hempel: „Kooperacja to wielka idea społeczna, zdążająca do radykalnej przebudowy całego dotychczasowego ekonomicznego ustroju, to wielka międzynarodowa idea, której celem jest zniesienie kapitalistycznego przywileju, a więc usunięcie jako niepotrzebne fabrykanta z fabryki, obszarnika z ziemi, której dzierżyć nie ma prawa, gdy własnymi nie uprawia jej rękami, wreszcie kupca i pośrednika w handlu”.

Słowa te padły w warunkach podwójnej niewoli: ustrojowej i narodowej. Jeśli w naszym kraju nie mogą mieć dziś żadnego zastosowania, nie oznacza to, iż nie może mieć zastosowania głębokie przesławienie, iż cele spółdzielczości daleko wykraczają poza czysto ekonomiczne względy, niezależnie od tego, czy będzie to spółdzielczość mała lub duża, szkolna lub produkcyjna.

LSS to jeden z siedmiu oddziałów Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców „Społem”. Prawda, że skupiający dwie trzecie potencjału całej WSS. Mimo tego — w ramach przyjętej struktury i nomenklatury — powinien nosić prostą nazwę: Oddział Lublin. Pozostawiono jednak — wyjątek w Polsce! — nazwę dawną ze względu na piękne tradycje, obecnie już 65-letnie. Jak głębokie i demokratyczne są owe tradycje, niech świadczy fakt, iż w szeregu dawnych działaczy Spółdzielni obok Jana Hempela i Bolesława Bieruta znalazły się piski: Maria Dąbrowska i Maria Orsetti.

LSS to dzisiaj osoba w wieku emerytalnym. Przeżyła różne zakręty dziejowe. Podupała na zdrowiu i odradzała się. Ciągłe trzyma się dzielnie. Dzisiaj może nawet lepiej niż kiedykolwiek.

„Co kupi jeden głupi nie sprzeda dziesięciu mądrych”

KILKA lat temu „Polityka” zaczęła nas, abyśmy uczyli się — choćby od diabła. Pismo cieszy się wysokim autorytetem w społeczeństwie, więc zalecenie redakcji zostało szybko przyswojone, można nawet powiedzieć, że cytowane hasło zrobiło karierę. Sam wielokrotnie recytowałem je podczas spotkań z Polonią zachodniolubelską, zyskując uznanie audytorów, w których przeważali ludzie starsi, z natury rzeczy odlegający się od szatana.

Ostatnio, także za sprawą „Polityki” (oraz „Życia Gospodarczego”), wzrasta w narodzie popularność słowa marketing. Brzmi ładnie, dynamicznie, rodowód ma anglosaski, sugeruje coś nowoczesnego, a zatem trafia w dziesiątkę oczekiwań publicznych. Wszak kilkanaście lat temu Julian Przybóś zauważył, że ludzie w Polsce pragną nowoczesności, kupują to, co nowoczesne, nie ulegając najmniejszemu wahaniom w momencie wyboru towaru. „Prosty człowiek w Polsce nie ma wątpliwości, co nowoczesne”, konkludował autor „Sensu poetyckiego”, którego dzisiaj możemy śmiało uznać za pioniera idei marketingu w warunkach gospodarki socjalistycznej. O kilka długości wyprzedzając handel, przemysł i naukę, Przybóś odwołał się do opinii konsumentów w trakcie formułowania oczekiwań społecznych.

Niestety, Przybóśiem bardziej interesują się u nas filolodzy i krytycy literatury, niż kapitanowie przemysłu oraz handlu, więc w rezultacie przychodzi nam odkrywać sprawę na nowo. „Marketing”

lowi. Rynek zaczyna grymasić, przebiegać — sprokowany do tego nie tylko większą ilością pieniędzy w portfelu indywidualnego klienta, ale także rosnącym mimo wszystko różnicowaniem asortymentowym towarów przemysłowych, stopniem ich jakości i obecnością w sklepach wyrobów zagranicznych. Poza tym Polacy jeżdżą sporo po świecie, ucząc się nawet od diabła. No i w rezultacie życie powoli wchodzi w martwe do niedawna pojęcie konkurencyjności towaru. Kiedyś dobre było to, co było dostępne w handlu i jako tako funkcjonalne, dzisiaj pojęcie jakości obejmuje także kwestię mody, która na dodatek nie posiada uniwersalnego charakteru, inaczej się wabi w odmiennych warstwach czy środowiskach społecznych.

W takiej sytuacji marketing wydaje się być koniecznością społeczno-ekonomiczną. Tymczasem dyrektor pewnego zjednoczenia stwierdził niedawno publicznie, że przemysł wie najlepiej, czego chce rynek i co konsument powinien kupować. Rychło okazało się, że wypowiedź z pozycji monopolisty uzasadnia tylko fantasmagoria dyrektora, jako że podległe mu przedsiębiorstwa nie mogły sprzedać na rynku krajowym 50 proc. swoich wyrobów, a zagranicą w ogóle nie chciała słyszeć o takich „wartościach”.

Wiadomo ponadto, że istnieją poważne kłopoty z upłynięciem wyrobów z polcorfam i bistoru, które jeszcze niedawno cieszyły się tak wielkim popytem. Nie doszłoby zapewne do takiej, kryzysowej, sytuacji, gdyby w porę podjęto badania trendów rozwo-

Zróbmy coś!

Ireneusz J. Kamiński

ulokował się na dobre w publicystyce, w referatach działaczy politycznych i gospodarczych, mnożą się stosowne sympozja teoretyczne (ostatnio w Glucholazach), działa już Stowarzyszenie Socjalistycznego Marketingu, którego Zarząd Główny mieści się w samym sercu stolicy, przy Nowym Świecie 49. Wszystko wskazuje na to, że sprawa jest poważna, a sukces bliski. Może niedługo miast strzępić języki tematem piosenkarskim czy futbolowym, przy kufu piwa marki „specjal beer exported etc.” zaczniemy powszechnie deliberować nad tym: ile, jak i kiedy produkować powinien przemysł, aby zadowolili konsumentów i zarobił na swojej robocie. Na tym właśnie polega marketing, czyli systematyczne badanie rynku pod kątem efektywności społecznej i ekonomicznej produkcji oraz wykorzystywania wyników owych badań w praktyce przemysłowej i handlowej.

Ale nawet człowiek o florazie inteligencji 50 zauważy w tym miejscu, że wspomniane deliberacje uprawiamy od dawna i spontanicznie, bez zachęty prasowej i urzędowej. Złorzeczmy, że w sklepach jest to, a nie ma tamtego, choć naszym zdaniem powinno być tamto, a nie to, no i ostatecznie kupujemy, co w ręce wpadnie. Pijemy na przykład „specjal” czy „trybunalskie”, różniące się w swojej podłości tylko etykietami, bo nie mamy wyboru, o czym producent wie doskonale i właśnie dlatego nie kwapi się z podniesieniem jakości napoju. Ludzie wszystko kupią w sytuacji, kiedy o wyposażeniu rynku decyduje producent, a nie konsument, więc wszelkie gadanie o marketingu może dać takie rezultaty, jak przelewanie „specjalu” w „trybunale”, czyli żadne. Niechże refleksja nad tą kwestią nadal rozwija się trybem amatorskim, służąc higienie psychicznej klienteli, ale broń Panie Boże przed instytucjonalizacją sprawy, bo to tylko koszty, szyldy i jeszcze jeden strumień scholastyki obiecuje... Jeśli Ośrodek Współpracy z Konsumentem „Opinia” nęka nas regularnie pytaniami o ilość spożywanej miesięcznie margaryny oraz serków topionych, a potem premiuje ankietowanych książeczkami na temat sporządzania ciekawych potraw z ryb słodko- i słonowodnych, których w sklepach nie ma od dawna, to już lepiej spuścić spodnie i tak chodzić, albo oddać się lekturze publicystyki Lecha Wieluńskiego w „Perspektywach”, gdzie ten zany człowiek bezpretensjonalnie rozważa kwestię handlu naszymi dziełami sztuki za granicą, na czele listy promowanych przez siebie artystów umieszczając trzeciorzędnego pejzażystę...

Sporo w tych uwagach praktycznego rozumu, to nie ulega wątpliwości. Co pewien czas dowiadujemy się jednak z niemalym zdumieniem, że magazyny niektórych zakładów produkcyjnych i hurtownie handlu pęcznią od takich chodliwych towarów, jak odzież, obuwie, a nawet — meble! Nie są to, jak można by sądzić, wyroby źle wykonane, spartaczone, czy niefunkcjonalne. Są to po prostu rzeczy, które z takich czy innych względów nie przypadły do gustu albo konsumentom, albo hand-

wych wspomnianych produktów, gdyby zorientowano się, że ludzie coraz żywiej uciekają od butów i odzieży z tworzyw sztucznych. Takie badania wchodzi w zakres planowania strategicznego, czyli takiego, które nie istnieje u nas na szczeblu przedsiębiorstw...

Produkujemy ochoczo i coraz więcej, instalujemy nowoczesne linie technologiczne w fabrykach, kupujemy za ciężkie dewizy licencje zagraniczne, a indywidualny konsument nadal narzeka na jakość i ograniczenia asortymentowe wyrobów przemysłowych, mając niejednokrotnie rację. Dlaczego tak się dzieje, dlaczego wielomilionowej wartości towary spoczywają w magazynach, mimo rozwoju i rosnącej nowoczesności naszego przemysłu? Dlatego — odpowiadają fachowcy — że wiele zakładów produkcyjnych działa na zasadzie: mamy maszyny, surowce, energię, ręce do pracy — więc zróbmy coś! Zróbmy coś, nie zwracając sobie głowy takimi warunkami sukcesu handlowego, jak miejsce, czas i forma produktu, sposoby jego dystrybucji, motywacje konsumentów, oczekiwania rynku. Nie zwracamy sobie głowy marketingiem!

Dziwnie to wszystko anachroniczne, nawiązujące do tradycji sprzed lat dziesięciu czy piętnastu, bo przecież nie dalszej, sprzed wieku, kiedy to Engels powiedział: „Jeśli Mi coś dogadza, to dogadza to Mnie, lecz jeszcze nie innym”.

Traktowany na serio marketing zmusza producentów do elastycznego planowania, do wprowadzania innowacji technologicznych i ścisłego współdziałania z wzornictwem przemysłowym, do stosowania sugestywnej reklamy. Jest ważnym elementem dynamicznego modelu współczesnego przemysłu i handlu, choć na pewno nie może być stosowany jako remedium na wszystkie bolączki naszej gospodarki. A jako taki — zmuszający do nieustannej aktywności i myślenia — nie zyskuje sympatii przemysłu i handlu. Na lubelskie spotkanie informacyjno-propagandowe z przedstawicielami Zarządu Głównego Stowarzyszenia Socjalistycznego Marketingu przybyło niewiele osób z „aktywnym kierowniczego i sztabowego jednostek gospodarczych przemysłu, handlu i usług” (cytuje zaproszenie), ponieważ — jak tłumaczyli zakłopotani gospodarze — zbiegło się ono w czasie z meczem piłkarskim Polska—Szwajcaria. Spotkanie trwało zresztą krótko, z tego samego powodu. Jedyna pociecha w tym, że białoczerwoni odnieśli zwycięstwo w stylu spełniającym oczekiwania polskich konsumentów igrzysk. Widać w drużynie jest jakiś fachman od marketingu...

Spotkanie okazało się zatem wielce instruktywne, nie tylko dlatego, że jeden z delegatów warszawskich przypomniał hasło, które ponoć zdobyło niedługo dobrą szkołę handlową Veitów w Lublinie: „Co kupi jeden głupi, nie sprzeda dziesięciu mądrych”.

P.S. W końcu powstał lubelski oddział Stowarzyszenia Socjalistycznego Marketingu, skupiający przedstawicieli co ważniejszych zakładów województwa. W końcu? Nie, jako drugi w kraju po warszawskim!

CENTRUM

POLONIJNE Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS i Towarzystwa „Polonia” zbliża się do końca czwartego roku swej działalności, co ze względu na kalendarzowo-obyczajowych nie może być oczywiście powodem do wyprawienia jakiejś hucznej uroczystości jubileuszowej. Zresztą dyrekcja lubelskiej instytucji nigdy nie przejawiała kosztownej skłonności do efekciarskich podsumowań, reprezentując postawę pragmatyczną, spełnianą w konkretnej robocie. Wbrew jednak okolicznościom tu przedstawionym Centrum otrzymało niedawno coś w rodzaju jubileuszowego podarunku. Oto na listopadowym posiedzeniu Rady Naukowo-Programowej instytucji zastępca sekretarza generalnego Towarzystwa „Polonia” stwierdził jednoznacznie, że „wśród krajowych ośrodków działających na rzecz Polonii Centrum posiada niesłychanie wysoką rangę”. Trzeba przy tym wiedzieć, że Wojciech Brzozowski był niegdyś znanym dziennikarzem i działaczem związkowym, a tacy ludzie dalecy są od prawienia okazyjnych komplementów bez realnego pokrycia. Owszem, obecny członek kierownictwa Towarzystwa „Polonia” pracował jeszcze niedawno w dyplomacji — był konsulem w Strasburgu — ale takie funkcje nie kolorują, wbrew pozorom, optyki postrzegania świata.

A wspomniamy o tym i z tego względu, że tak wysoko oceniona placówka dysponuje zaledwie 2,75 etatu, podczas gdy pokrewne instytucje w Krakowie i Poznaniu mogłyby ze swojego personelu utworzyć niejedną drużynę futbolową. Okazuje się jednak, że niedostatek kadrowy można z powodzeniem rekompensować takimi wartościami, jak nerw kierowniczy i siła przebicia (dyr. Władysław Kucharski), dyspozycyjność i pracowitość (mgr Marek Zdrojewski), że nie wspomniemy już o specyficznych walorach, którymi legitymują się dwaj wicedyrektorzy Centrum: doc. dr hab. Zbigniew Sobolewski i mgr Stanisław Leszczyński.

Jakie to jednak konkrety pozwalają nam na dobre słowa pod adresem Centrum przy ul. Nowotki, gdzie zajmuje ono trzy pokoje w budynku Instytutu Fizyki UMCS? Rzecz najważniejsza: swoją konsekwentną i z rozmachem prowadzoną robotą instytucja zdobyła zaufanie i autorytet środowisk polonijnych krajów europejskich, USA i Australii. Znaczenie tego układu docenić można tylko wówczas, jeśli zna się skomplikowane motywacje kontaktów z Krajem, zróżnicowanie organizacyjne.

W czwartym roku istnienia placówka lubelska prowadziła działalność w pięciu płaszczyznach: kulturalnej, oświatowej, wydawniczej, naukowej i organizacyjnej. Ze względu na techniczne nie wdając się w szczegółową analizę całego pola aktywności Centrum, przypomnijmy tylko, że w kolejnym kursie dla instruktorów polonijnych zespołów folklorystycznych (lipiec br.) uczestniczyło 121 osób z 14 krajów, najwięcej z Belgii, Francji i Kanady. Istotne, że kursanci otrzymali po kilka publikacji informacyjnych na temat tańców ludowych, strojów i obrzędów, które praktycznie są niedostępne w krajach ich zamieszkania. Zresztą my także nie jesteśmy w stanie zapewnić Polonii odpowiednich wydawnictw instruktażowych, nut i płyt gramofonowych, bo po prostu nie ma ich na rynku. Czy któryś z naszych

ENFIN! Je suis à Paris. C'est n'est pas une reve, c'est réalité... Alors, il faut décrire mes impressions.

Paryż z lotu ptaka był tego dnia prawie niewidoczny z powodu chmur. Na Orly lato. Ogromny dworzec, nowoczesny aż do przesady, z ogromną ilością napisów informacyjnych (dwujęzycznych: po francusku i po angielsku, pewnie z myślą o dolarowych turystach z USA), zatłoczony Murzynami, policjantami w rozmaitych mundurach i... rodakami znad Wisły, których tu wszędzie słychać.

Nieco zagubiony w tłumie 6 przystojny zrzęta walcami — 35 kg) podał mi sierzantowi jakieś tutejszej policji paszport. Cała formalność to pieczęćka i... „bonne chance!” (w wyobraźni, do sympatyczny sierzantek w twarzowym kepi nawet nie odrywa oczu od swojej pieczęćki). Latwo powiedzieć. Trzy walizy i obce miasto. W dodatku do centrum ładnych kilkanaście kilometrów, a dewiz na takową szkodę. Na szczęście spotkał mnie znajomy z Lublina (ma za to pominiętych na skwerku mego serca) i to ze swoim znajomym, Francuzem posiadającym samochód, jakiś super-Renault.

Dobra nasza! Pierwszy trening we francuszczyźnie i jazda do Paryża. Przyjemne z pożytecznym. Miasto widać teraz jak na dłoni. Witam je jak starego znajomego, identyfikując wieże i kopuły. Jedźmy szukać mieszkania. Mam trzy adresy. Zaden pewny. Pierwszy i drugi — niewypały. A tu zmierzch. Na Polach Elizejskich neony. Mijamy Łuk Tryumfalny, oświetlony aż bije łuna, aż rozpryskują się refleksy po mokrym asfalcie. Zagłębiamy się w uliczki Montmartre. Na ciemniejącym niebie kopuła znana z tylu obrazów, filmów.

Wreszcie ostatni adres i ciemna już nocą lokuje się u M-me Royal, jak po

MARGINALKI ZNAD SEKWANY (I)

NA SCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (II)

GŁOWNY ośrodek treningowy brytyjskich komandosów, Commando Depot, mieścił się w Achnacarry, w północnej Szkocji. Został zorganizowany w grudniu 1941 r. w Achnacarry Castle (i na przyległych terenach) — rodowej siedzibie Sir Donalda Camerona of Lochiel, głowy klanu Cameron. Hilary St. G. Saunders tak opisuje w książce „The Green Beret” tamtejszą scenę: „Zamek stał w samotnej dolinie, około 14 mil od Fort William, w samym sercu Highlandów. Tutaj, w dzikim pejzażu, wśród bagien i jezior, przy nieustannie padającym deszczu, bez względu na ostre zimowe mrozy, prowadzony był podstawowy trening komandosów. Trwał on dwaście tygodni, właściwie bez przerwy.” (Wszystkie tłum. z angielskiego — MD).

Komendantem ośrodka był prawie od chwili jego założenia aż do końca wojny podpułkownik Charles Vaughan. Ten silnie zbudowany, o mięsistej twarzy, o przenikliwym spojrzeniu officer, był poprzednio zastępcą dowódcy 4 Commando. W wojsku służył od prostego szeregowca, a kiedy obejmował w „posiadanie” Achnacarry, miał już za sobą 28 lat służby w doborowych brytyjskich jednostkach, m. in. w słynnych Coldstream Guards. Pisze o nim Peter Young, że „wiedział czego chce i wiedział również jak to osiągnąć”. Trzymał swoich podopiecznych żelazną ręką, był bezwzględny w wypadku przewinień i przekroczeń obozowego regulaminu, ale też cieszył się powszechnym szacunkiem a nawet uwielbieniem, bo serce miał dobre, a poza tym cechowało go wielkie poczucie humoru. Komandosi obdarzyli go wieloma przydomkami. Nazywano więc Vaughana żartobliwie Wilkiem z Badenoch, Rommem Północy, ale jemu samemu najbardziej chyba przypadło do gustu przezwisko — Laird of Achnacarry. (Dzieci na Achnacarry).

Przez ręce Vaughana przeszło w ośrodku treningowym około 25 tysięcy komandosów. Byli wśród nich nie tylko Brytyjczycy, ale i wielu cudzoziemców: komandosi amerykańscy tzw. US Rangers, Belgowie, Holendrzy, Francuzi, Norwegowie, Polacy, Węgrzy, Jugosłowianie. Choć podczas ćwiczeń używano tutaj ostrej amunicji, w całej historii Achnacarry, w ciągu trzech lat zdarzyło się tylko 40 śmiertelnych wypadków. Działo tu swoiste sprzeczenie zwrotne: żołnierz wykonujący zadanie pod kulami i wśród pekających granatów zmuszony był do nauczenia się wyjątkowej ostrożności i precyzji w działaniu; z drugiej strony — wyrywał w sobie ogromne poczucie odpowiedzialności względem kolegów. W Achnacarry bezustannie się biegano; pokonywano wymyślne tory przeszkód, zdobywano okoliczne wzgórza, przekraczano rwące potoki. Do tego prawie bezustannie lał deszcz. Jednym z najtrudniejszych ćwiczeń był tzw. „Death Ride” (Śmiertelny rajd) — jazda na linie przyczepionej na znacznej wysokości nad rzeką Arkraig. Odbywało się to na dołku wśród huku rzucających zewsząd do wody petard. Jedyną pomocą w korzystaniu z tej „napowietrznej kolejki” były indywidualne liny, tzw. toggle-rope'y wchodzące w skład wyposażenia każdego komandosa.

Płk Vaughan miał dwie podstawowe zasady, którymi się kierował: wierzył, że żołnierz może pokonać odległość 7 mil (ok. 11 km) w ciągu godziny, jeżeli tego naprawdę bardzo chce. Po drugie: każdy zatrudniony przez niego instruktor musi być człowiekiem wyjątkowym, przede wszystkim — urodzonym przywódcą. W opracowanym w Achnacarry treningu komandosów musieli m. in. umieć strzelać z każdej pozycji, walczyć na noże i na pięści, znać chwyt jujitsu, znać wspinaczkę wysokogórską, potrafić poruszać się bezszelestnie w nocy i w dzień, i w ogóle posiadać najwyższą sprawność fizyczną oraz umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Poza tym, już po opuszczeniu Achnacarry komandosi przechodzili cały szereg innych ćwiczeń w brytyjskich bazach wojskowych, przede wszystkim morskich. Nie ważne było o której godzinie oddział wrócił z ćwiczeń, jeżeli nawet zdarzyło się to o 6-tej rano, to o 7-ej miał już stać na porannym apelu gotowy do dalszych zajęć. Przy tym wszystkim komandosa miały cechować:

„Łódwaga i iniejaływa, koleżeńskosc, prawdomówność, dbałość o czystość i wygląd zewnętrzny.” Dbano o to, aby żołnierze dobierali się „stałymi parami”, żeby łączyły takich dwóch silne więzy przyjaźni. Dawało to możliwość doskonałego porozumienia i uzupełniania się w walce, a przede wszystkim przy tzw. „cichych robocie” — prawie bez używania słów, na wycieczce. Ważnym punktem szkolenia była orientacja w terenie, znajdowanie drogi do oddziału. Komandosów wywożono nieraz daleko w nieznanym kierunku i pozostawiano bez grosza przy duszy. W określonym czasie żołnierz musiał się stawić, nie ważne jakim sposobem, na miejscu zbiórki. Jeden z żołnierzy 11 Commando wstawił się w tym względzie przebyciem w ciągu kilku godzin 400 kilometrów drogi dzielącej Hajfę od Ismaili w Egipcie, „pożyczając” sobie kolejno kilka samochodów. Zyskał pochwałę dowódcy; gdyby został schwyty na „gorącym uczynku”, otrzymałby nagany. Za to, że dał się złapać...

Vaughana nigdy nie opuszczało poczucie humoru. Kiedy US Rangers po powrocie do Stanów Zjednoczonych donosili mu, że w tworzonych właśnie u nich ośrodkach treningowych warunki są trudniejsze, bo rzeki, nad którymi przebiega trasa „Śmiertelnego rajdu”, roją się od aligatorów, nie spieszył Vaughan odpisać, iż właśnie ostatnio w Achnacarry pojawił się słynny potwór z Loch Ness, który czatuje w rzece Akraig, pod liną napowietrznej kolejki na... świeże, ludzkie mięso. Czasami ten humor Dziedzica na Achnacarry stawał się na tyle wojskowo rubaszny, co i dość makabryczny, choć może za-prawiony zdrową dozą sceptycyzmu: kiedy komandosi opuszczali jego ośrodek przepelnieni marzeniami o przyszłych, bohaterских czynach i niezwykłych akcjach, Vaughan zęgnął ich słowami: „Niektórzy z was zostaną ranni. Prawdopodobnie — ciężko ranni. Być może stracą nogę lub rękę. Ale powiadam wam: nie martwcie się. Znajdziecie wszak pomoc i opiekę... (Tu następowala dramatyczna pauza). Tak, tutaj, w Achnacarry, zawsze znajdziecie się dla was zajęcie.” (Peter Young: „Commando”).

Samodzielna kompania polskich komandosów zorganizowana na rozkaz Naczelnego Wodza w końcu września 1942 r., a wchodząca w skład 10 Międzynarodowego Commando jako 6-th Troop of 10-th Inter Allied Commando, przybyła do Achnacarry 19 listopada 1942 r. Na przeszkolenie zostało skierowanych 81 oficerów i szeregowych, prawie cały stan utworzonej niedawno kompanii. Wylądowali się o 6.30 rano na stacji kolejowej Spean Bridge, skąd do ośrodka treningowego było jeszcze 11 kilometrów. Tak jak wszyscy komandosi musieli tę odległość pokonać forsownym marszem, dźwigając na grzbiecie całe wyposażenie i bagaże. Tak wyglądało zawsze pierwsze ćwiczenie, wymyślone przez płk. Vaughana.

Samodzielna Kompania Komandosów zawiązywała się w szkockim mieście Cupar, stolicy hrabstwa Fife, w

znaczonym oparciu o kadre oficerską i ochotników ze stacjonującego tam polskiego 2 batalionu grenadierów „Kratkowane Lwiątka”, zwanego tak od sylwetki lwa na kratkowanym polu nawijającym do szkockiego „tartanu”, którą to oznakę nosili grenadierzy na furazerkach. Batalion przejął tradycję oraz sztandar 2 pułku grenadierów wielkopolskich walczącego na polach Francji w 1940 r. Obecnie dowodził batalionem płk dypl. Bronisław Chrusciel. Jednostka wchodziła w skład 1 Samodzielnej Brygady Strzelców pod dowództwem gen. Bronisława Duchy. „Kratkowane Lwiątka” wydały ze swych szeregów licznych „cichociemnych”, spadochroniarzy gen. Sosabowskiego, a teraz zasiliły znacznie szeregi organizujących się komandosów.

Etat kompanii został określony na 5 oficerów i 81 szeregowych, na dowódcę wyznaczono Władysława Smrokowskiego. Już 20 września rozpoczął się napływ ochotników; dowództwo i kancelaria mieściły się w kościele S. John's Church przy ul. Kirk Vind w Cupar.

Achnacarry: pot i łzy

Mirosław Derecki

Kronikę kompanii zaczęto spisywać w trzy dni później, 23 września 1942 r.

Dowódcą, kpt. Władysław Smrokowski, jak przystało na oficera komandosów, był człowiekiem nieprzeciętnym. Liczył dopiero 31 lat, a miał za sobą szmat służby wojskowej oraz przygody nadające się na materiał do sensacyjnej powieści. Urodził się w 1910 r. na Orawie, gimnazjum im. Sienkiewicza skończył w Krakowie. Następnie, w 1932 r., ukończył zawodową podchorążówkę piechoty w Komorowie, otrzymując pierwszą gwiazdkę. Służył szereg lat w 3 pułku strzelców podhalańskich, potem w 4 pułku strzelców podhalańskich prowadził zajęcia na Dywizyjnym Kursie Podchorążych. I również w szeregach 4 pułku wyruszył w 1939 r. na front. W przeciwnatarciu pułku pod Janowem odznaczył się dzielnością. Jak wielu polskich żołnierzy przedostał się po klęsce wrześniowej na Węgry i następnie do Francji, gdzie znalazł się w szeregach 1 Dywizji Grenadierów. Ledwie zasklepiła mu się ciężka rana odniesiona w bojach, przedziera się, jeszcze w 1940 r., przez Pireneje do Hiszpanii. Via Gibraltar przedostał się do Anglii. Stąd, w składzie Misji Werbunkowej gen. Duchy wyjeżdża do Kanady. W 1942 r. Smrokowski jest już znowu w Wielkiej Brytanii; pełni służbę jako dowódca 4 kompanii w 2 Baonie Grenadierów „Kratkowane Lwiątka”. Wkrótce zasłynie jako dzielny dowódca polskich komandosów, a z wojny wyjdzie udekorowany szeregiem wysokich odznaczeń: Złotym oraz Srebrnym Krzyżem „Virtuti Militari”, Krzyżem Walecznych, brytyjskim Military Cross i francuskim Croix de Guerre. Przez swoich podkomendnych będzie ciepło i z szacunkiem nazywany po prostu „Wodzem”. („WTK” nr 1, 1970 r.).

Zastępcą d-cy kompanii został kpt. Czesław Ciechoński, który po kilku miesiącach odszedł do Pierwszej Brygady Spadochronowej. Jego stanowisko objął wówczas por. Stanisław Wołoszowski — znajdujący się zresztą w oddziale od samego początku — ex-kawalerzysta bodajże z 1 pułku strzelców

konnych, ~~leżono~~ należały jeździec, członek grupy jeździeckiej, która miała reprezentować polskie barwy narodowe podczas igrzysk olimpijskich mających się odbyć w 1940 r. Pierwszym plutonem Samodzielnej Kompanii Komandosów dowodził ppor. Andrzej Czyński, drugim — por. Stefan Zaleski; a plutonem dowodzenia ppor. Maciej Zajackowski, z wykształcenia biolog, wielobiciel gór, współpracownik wielu przedwojennych pism fachowych takich jak „Taternik”, „Wierchy”, „Las polski”, człowiek obdarzony dużą pasją pisarską, późniejszy wieloletni kronikarz i orędownik historii komandosów.

Było więc sześciu oficerów, a nie pięciu, jak przewidywał etat; również liczebność podkomendnych została przekroczona: kompania w chwili opuszczenia Cupar liczyła 88 szeregowców i podoficerów. W tym aż 17 to byli podoficerowie i aspiranci.

9 października 1942 r. kompania wyjechała do Walii, gdzie zgrupowane było 10-th Inter Allied Commando. Ale zanim to nastąpiło, 25 września, odbył się w kasynie oficerskim 2 Baonu pożegnalny obiad dla tych wszystkich oficerów i podchorążych, którzy mieli odejść wkrótce do różnych formacji.

Gdy 9 października 1942 r. w zastępstwie ówczesnego dowódcy 1 Samodzielnej Brygady Strzelców żegnalem odejżdżającą Kompanię na stacji kolejowej — pisał po latach na łamach wychodzącej w Anglii „Bellony” gen. K. Glabisz — byłem zbudowany jej prezentacją wojskową, ale nieco zaniepokojony stosunkowo dużym procentem młodych i raczej wątłych chłopców. Czy ich zdawały się jednak mówić, że wola i zapal są ważniejsze niż szerokie bary i atletyczne mięśnie, które odpowiedzialna zaprawa wyrobić może. Tak też było. Olbrzymia większość wyjeżdżających sprostała wszystkim zadaniom z nawijką.

10 października Samodzielna Kompania wylądowała się w nadmorskiej wiosce Fairbourne leżącej w Północnej Walii, w ówczesnym hrabstwie Merionethshire. Na dworcu czekał już dowódca 10-th Inter Allied Commando płk. Dudley S. Lister. Towarzyszyli mu: zastępca d-cy mjr P. Laycock oraz adiutant, kpt. J. Clark. Commando Międzynarodowe powstało w styczniu 1942 r. i składało się początkowo z kompanii francuskiej, holenderskiej i belgijskiej. Potem doszli inni, m. in. Polacy i Norwegowie, a także, nieliczni, Jugosłowianie. Polska kompania otrzymała, jak już wiadomo, nr 6. Najbardziej „egzotyczna” w tym towarzystwie była bezsprzecznie kompania oznaczona numerem 3, zwana też „brytyjską mieszaną” lub „X”-Troop. Pod dowództwem Brytyjczyka, kpt. Hilton-Jonesa służyli tutaj głównie Niemcy i Austriacy — zdeklarowani antyfaszyści. Było też tam trochę Węgrów i Czechów. Wszyscy oni mówili doskonale po niemiecku, przeznaczeni byli do specjalnych zadań po inwazji na kontynent, wszyscy też otrzymali fałszywe nazwiska szkockie lub angielskie, zmyślone metryki urodzenia i życiorysy. Roilo się tam od „Leneów”, „Hamiltonów” i „Brownów”. Dowództwo L. A. Commando mieściło się w miejscowości Harlech, a poszczególne kompanie rozłożyły się w okolicznych wsiach i miasteczkach. Mieszkanina różnych języków, sposobów bycia, noszenia mundurów, muzyki itp. była nie lada przeszkodą dla dowództwa, które musiało jednak jakoś zapamiętać nad tą komandoską wieżą Babel.

„Wśród nich — pisze H. Saunders — Polacy byli chyba najbardziej weseli. (...) Mieli oni również zwiyczaj okazywania serdeczności dla odwiedzających ich ludzi przez podrzucanie w górę a następnie chwytanie ich w locie. Na pierwszej potańcówce, jaką zorganizowali po swym przybyciu, uhonorowali w taki właśnie sposób płk. Listera i kpt. Clarka. Ku radości wszystkich, ten ostatni, usiłował — wyleciawszy wysoko w powietrze — objąć rękami kolana aby w ten sposób utrzymać swój kilt (szkocką spódniczkę — MD) na właściwym miejscu, liczącym z jego stopniem i stanowiskiem.”

A jak zobaczyli Fairbourne nasi chłopcy? Otóż, jak to często bywało, przez przyzmat odległego, rodzinnego kraju. Na pierwszych stronach kroniki kompanijnej znajduje się taki oto wpis: „Fairbourne leży w maleńkiej zatoce u podnóża gór skalistych, ale tak pięknych, że ludzie pobudowali sobie na wysokich zboczach zagrody, wille i hotele. Hen, daleko w górach biega się lub czernią jakżeś chaty. Rzeczywiście, że to góralskie. Ale podejź bliżej, a zobaczysz, że to rezydencje... W tej niedużej osadzie kościółek również jest, zbudowany na skale, szkoda, że nie katolicki.”

Po miejscu pobytu w Fairbourne, polska 6-th Troop wraz z „mieszaną”

X. Trzeci wraz z kompanią norweską, wzięli na treningi w terenie na Achnacarry. Tam dopiero mieli być właściwie pasowani na komandosów.

W papierach osobistych poległego 11 lipca 1944 r. w natarciu na Case Neuve we Włoszech polskiego komandos, 21-letniego kap. Konrada Braulińskiego, kawalera „Wirtuti Militari” i dwukrotnie odznaczonego Krzyżem Walecznych, znalazł fragment wspomnienia o Achnacarry. Wydrukowane go w marcu 1971 r. w kombatanckim piśmie „Wiadomości-Wypęd” wydawanym systemem powielaczowym w Edynburgu przez byłych żołnierzy z Baonu Grenadierów oraz komandosów. W Polsce wspomnienie to ukazuje się teraz po raz pierwszy: (...) „Jechaliśmy do Achnacarry. Ach, ileż ta krótka nazwa nam mówi, choć przecież każdemu indywidualnie mówi co innego (...) wszystkim jednak dźwięk tego słowa wywołuje dreszcze, z którymi występuje krople potu. Tęgo potu, który jak obficie wydobywał się z nas przez okragłe trzy tygodnie, bez względu na święta kościelne czy narodowe. (...) — Jak będzie wyglądał ten trening? — pytaliśmy jeden drugiego. Położenie obozu wydawało się coś o tem mówić. Znał dowódaliśmy się w dolinie przeciętej wąską rzeką, która uchodziła do dużego jeziora, dookoła piętrzyły się góry. Na terenie całego obozu białe było niesamowicie (...) Drzewa były tu polączone grubymi linami na kształt jakiejś śmiesznej pajęczyny (...) Wszystko to robiło wrażenie „małpiego gaju” ostatniej kategorii. Poza tym znajdowały się inne niespodzianki w postaci torów przeszkód, które znalazłmy dotąd tylko z opowiadania, a które jutro miały stać się ponurą rzeczywistością. (...) Słyszeliśmy dotąd, że na jednej z przeszkód czterech utopiło się na Innej Norweg wpadł do błota tak głęboko, że można go zdkopywać. (...) Pierwszym, na który poszliśmy był względnie łatwy i krótki tor Nr 1.

Ciągnął się około kilometra i polegał na wdrapaniu się z bronią i w oporządzeniu po ukośnie leżącym pniaku, następnie skok przez bajorko, później drzewianą drabinkę z której wierzchołek skakało się do błota i zaraz potem liną, po której należało się spuścić na dno skalistego jaru, aby zaraz wdrapać się na przeciwną ścianę już bez liny i biec pod błotnistą górą, strzelając do ukazujących się figurek. (...) U niektórych były chwile załamania się, zwłaszcza gdy wypadło rozpoczynać po raz piąty czy szósty. Niejeden z nas kładł na chwile, kiedy przyszedł na świat, ale zaczęła się przysy — wiedzieliśmy przecież, że wytrzymać musimy.

Najgorszy był pierwszy tydzień, wielu było u szczytu wyczerpania, wielu chciało zrezygnować z zaszczytnego miana komandos. W chwilach słabości pomagał jeden drugiemu, dawaliśmy sobie zastrzyki duchowe, uzupełnialiśmy się jak się dało. Achnacarry było selekcją charakterów — każdy zdawał sobie z tego sprawę, dawał więc z siebie maksimum. Trudno zapewne będzie tym, którzy tam nie byli, zrozumieć jaką walkę wewnętrzną nie jeden z nas prowadził, gdy pozostawały ostatnie dwie mile z 12-milowego marszobiegu, kiedy brakło w giersiach tchu, ślina wysychała (...) ręka mdlała pod ciężarem broni — (...) Człowiek biegł wtedy ostatkiem sił pechany potężną mocą ambicji, nogi, których w takich momentach już nie czuł szły same jak maszyna, niemal bezwładnie. Wbiegliśmy na boisko, pada komenda: „Stój! Zdjąć rzesztunek rozebrać się, za minutę zbiorą do gimnastyki!” Zdejmujemy ze zdrewniałych członków oporządzenie, choć w głowie wszystko się kręci, oczy zachodzą mgłą, słuch odmawia posłuszeństwa. Robimy to wszystko bez szmeru, bez chwili namysłu...” (Tutaj rękopis Konrada Braulińskiego urywa się).

Wyjeżdżali 12 grudnia 1942 r. z powrotem do swej bazy w Fairbourn. Czekal tam na nich następny etap szkolenia a potem... potem może jakaś podróż, jakieś pierwsze, samodzielne zadanie. Pewnie właśnie wtedy w umyśle jednego z nich zaczęły się rodzić słowa piosenki:

Pozostały za nami w dain
Skoockie deszcze, skoockie mgły...
Każdy z nas się do czynu pali,
Każdy zisic chce swe sny.
Zegnaj słodka Skoocjo
I beztroski życia tryb...
Teraz masz znój, trud i emocję —
Commandosi — to my!

Na peronie stał samotnie Wilk z Badenoch, Rommel Północy, Laird of Achnacarry i błogosławił ich po swojemu na drogę...

Okno -tęce sztuki -ki

Pamiętnik Polakowskiego

ANDRZEJ Polakowski uczestniczył w 150 wystawach zbiorowych i miał 19 ekspozycji indywidualnych. Pokazywał prace w kraju i za granicą w renomowanych salonach i w klubach studenckich, w domach kultury i hallach teatralnych, w muzeach i na ulicach. Jego fotografie odnaleźć można w gazetach i czasopismach, w książkach i albumach, na plakatach i w folderach. Zetknął się z fotografią w 1950 roku, z pierwszą własną wystawą wystąpił w 1960 roku w Poznaniu, gdzie studiował inżynierię budowlaną. Polakowski posiada najbogatsze w Lublinie i systematycznie uzupełniane archiwum fotograficzne wydarzeń artystycznych i portretów ludzi sztuki, wykonanych w ich pracowniach. Są to wizerunki wyobrażeń malarzy o sobie samych, ujawniające ich ambicje, marzenia o wielkości, nie są to na pewno powierzchniowe, konwencjonalne konterfekty choć niejeden z modeli próbował opancerzyć się maską dystansującej obojętności wobec kamery, tym samym wpadając w sidła zastawione przez Polakowskiego. Pisanie dziejów lubelskiego środowiska plastycznego bez znajomości tego archiwum jest właściwie niemożliwe.

Polakowski — fotografik interesował się wszystkim, co widoczne i materialne — co leżało w centrum powszechnej uwagi i na jej dalekich poboczach. Od początku lat sześćdziesiątych wyprawiał się na wielkie budowle przemysłowe, gdzie szukał

lubił teści technik, nierzadko przecież ulegając jej samostanym wrażliwości: silne i nietypowej urodzie, tkwiącej w konstrukcjach i rytmicznej powtarzalności elementów, będącej następstwem systemowego programowania, jakie obowiązuje we współczesnym przemyśle. Polakowskiego zawsze interesowała dramaturgia ludzkich sytuacji i takie czy inne jej rezultaty. Znamienne: artysta nie przejmował się nigdy obiektami zabytkowymi — architektury czy naturalnym pejzażem, które to tematy podniecały wielu jego kolegów. Przeszłość, niezmiennność i odwieczność to były kategorie obce mentalności i wyobraźni Polakowskiej, rzucij na teraźniejszość, na aktualne



działanie, a więc na te sprawy i obszary czasu, które stanowiły i nadal stanowią niejako konstytucyjny nurt aktywności awangardy. Pełperowa „Zwrotnica” już w 1922 roku wabiła podtytułem: „Kierunek: sztuka teraźniejszości”. Nawet wówczas, kie dy podejmował Polakowski temat po trosze historyczny, a na pewno tracący egzotyka, a więc kiedy fotografował cygańskie „Pożeganie taboru” (wystawa w 1969 r.), okazywał się bardziej socjologiem niż łowcą niezwykłości czy wskrzesicielem resentymenów.

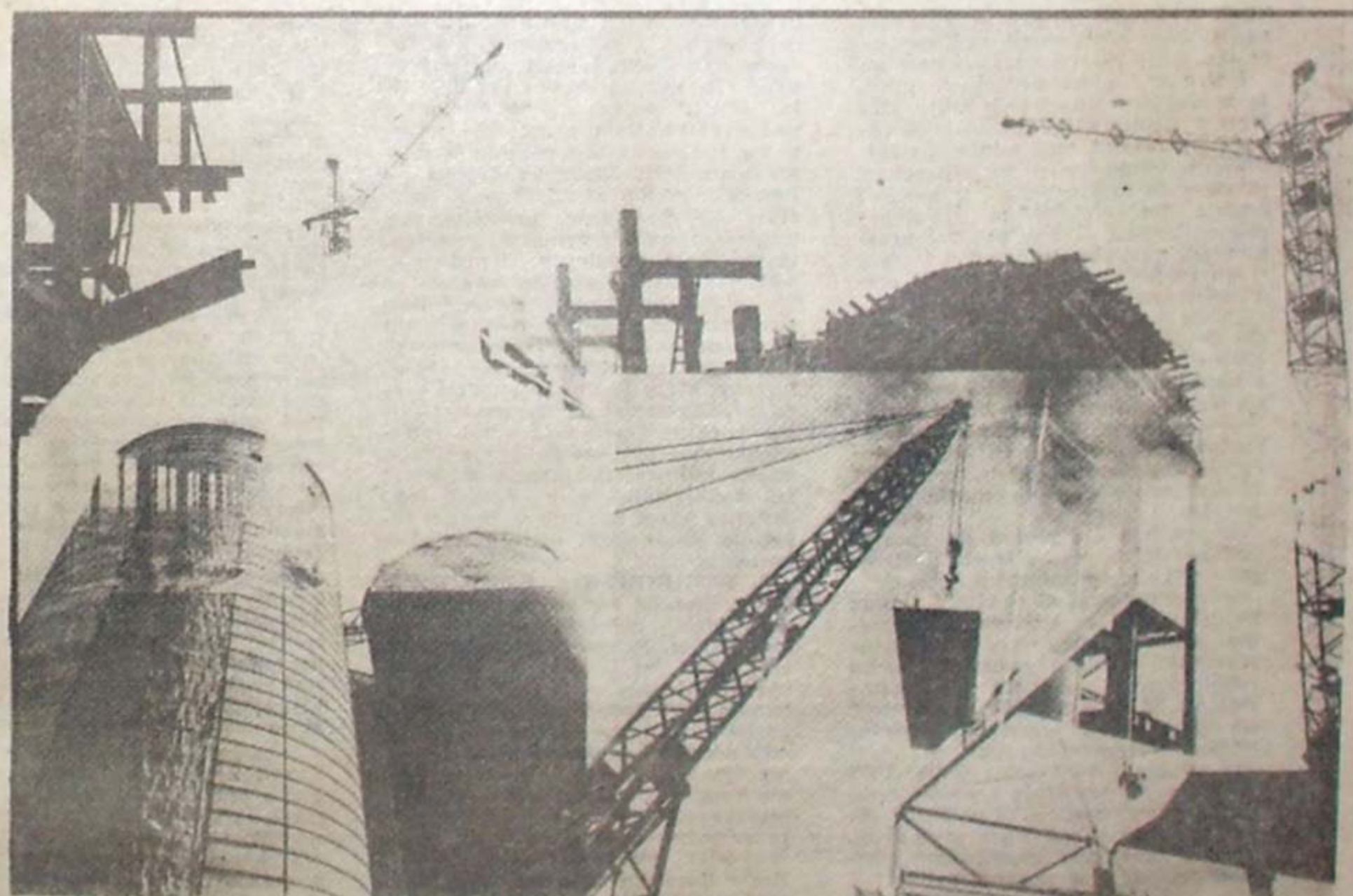
Naturalnie, tego rodzaju postawę manifestował Polakowski przede wszystkim w płaszczyźnie formalnej,

czuła — począwszy od 1970 roku — łamiąc tradycyjną strukturę fotografii. W Kamienicy Dolnej ekspozował prace na ile graclarni meblowej, albo wypuszczal żywe gołębie, które fruwały wśród własnych wizerunków fotograficznych w melodii ptasiego śpiewu, nagranych na taśmie magnetofonowej („Foto — Ptaki” wraz z L. Leoi. W 1973 roku przedstawił w lubelskiej „Chacie Zaka” kolejną „Zapła”; rozwieszona w przestrzeni, leżące na podłodze, poskręcane i układane we fryzy, wymieszane z rekwiizytami teatralnym fotografii współtworzyły swoisty spektakl („wyroszerowany” także przez G. Sądeckiego). Wiele wskazywało na to, że Polakowski zakotwiczył się ostatecznie gdzieś w rejonach konceptualizmu, znacznie konsekwentnie uprawiając fotografię, znajdując serdeczny patronat w galerii „Labyrinth”, która ekspozuje tego rodzaju działania oraz video.

Tymczasem w listopadzie bieżącego roku artysta pokazał w lubelskim BWA fotogramy jakby „salonowe”: płaskie, prostokątne, rozwieszane porządnie, jak to drzewie bywało, na ścianach, poddające się indywidualnej kontemplacji, przemyślnie komponowane i kadrowane. Od konwencjonalnej fotografii różniły się one tylko tym, że na jednej płaszczyźnie przedstawiały kilka zdjęć nakładanych na siebie, przenikających się za sprawą manipulacji negatywami i ostatecznie tworzących symultaniczne całości, które pod względem warsztatowym nie mogły przecież nikogo zbulwersować, jako że owe rozwiązania należą już do standardu współczesnej techniki fotograficznej. Zdaje się jednak, że takie sprawy w ogóle Polakowskiego nie obchodziły. Autor wybrał taką właśnie formę, ponieważ uznał ją za najbardziej pożądaną, poręczną dla osiągnięcia zamierzonego celu, którym było — jak się domyślam — przedstawienie fotograficznego pamiętnika własnych dokonań, na pewno bądźco okrojonego, ale nieże przecież rekonstruującego biografie artystyczną autora. Do takiej interpretacji wystawy skłania obecność w fotogramach zdjęć sprzed lat nawet kilkunastu oraz zanurzenie prac w „albumowym”, oddalającym w czasie kolorze sepi.

„Wspomnienia” Polakowskiego warto było obejrzeć nie tylko dla satysfakcji estetyczno-poznawczej, albowiem poza tymi oczywistymi walorami wystawa chwaliła się wartościami jakby dydaktycznymi: okazała się pouczającą lekcją na temat pożytków, jakie przynosi nieustająca aktywność twórcza, ruchliwość intelektualna i wiara w niezniszczalność fotografii jako sugestywnego przekazu refleksji nad światem.

IJK



„Budowa III”

Fot. A. Polakowski

Kamena str. 7

stawowych, w sprawach strategii i taktyki, w sprawach stosunku do programu minimum i programu maksimum. Zapowiadał się wybuch rewolucji światowej, która sama w sobie miała automatycznie rozwiązać wszelkie problemy narodowościowe. Niektórych działaczy ruchu robotniczego cechowała niecierpliwość.

Dodajmy do tego, że polski ruch robotniczy obok wspomnianych dwóch kierunków klasowych rozbił się również w innym sensie: część klasy robotniczej uczestniczyła w ruchach narodowym i chrześcijańskim. Narodowy Związek Robotników był nawet używany do tłumienia działań rewolucyjnych, jak to stało się np. w czasie rewolucji 1905 roku.

„KAMENA”: Sytuacja w polskim ruchu robotniczym była rzeczywiście niezwykle skomplikowana. A jednak dążenia do integracji stanowiły wielką siłę motoryczną. SDKPiL i PPS-Lewica już w czasie I wojny światowej nawiązały ze sobą dość bliską współpracę, która w grudniu 1918 roku doprowadziła do powstania KPRP. Uznała ona hasło dyktatury proletariatu i stanęła w szeregu partii leninowskich. Nie mniej nie oznaczało to, aby do leninizmu już w pełni doszła. Znamienny jest tu przykład kwestii agrarnej. KPRP nie uwzględniła w początkowym okresie swej działalności problemu sojuszu robotniczo-chłopskiego, nie doceniła naturalnego sprzymierzenia na wsi.

A. KOPRUKOWIAK: Tak, KPRP i później KPP uczyła się w działaniu, zresztą w warunkach trudnej konspiracji. Ale chcę jeszcze powrócić do sprawy rozbitcia polskiego ruchu robotniczego. Moim zdaniem owo rozbitcie wynikało z czterech głównych powodów.

Pierwszy — to struktura społeczna kraju. W miarę rozwoju systemu kapitalistycznego dochodził w Polsce do rozwarstwienia klasy robotniczej. Inna jest sytuacja robotnika zatrudnionego w wielkim zakładzie produkcyjnym, inna — w małym, często opartym na rękodzielnictwie, inna wreszcie robotnika rolnego. Istniał też podział między poszczególnymi rejonami kraju. Odrodzona Polska powstała na ziemiach, które ponad stulecie znajdowały się pod zaborem trzech państw. Inaczej więc wyglądało np. uprzemysłowienie Galicji, a inaczej Śląska, inaczej Poznańskiego, a inaczej Lubelszczyzny.

Drugi — to uwarunkowania ideologiczne. Mam tu chociażby na myśli destrukcyjne działania endecji, chadecji czy obozu belwederskiego. Część robotników pozostawała pod wpływem legendy Piłsudskiego.

Trzeci — to stosunek do tradycji, walki narodowo-wyzwoleńczej, o czym już zresztą wspominałem. SDKPiL łączyła proces wyzwolenia narodowego z rewolucją ogólnoeuropejską, która zniszczy wszelkie granice. I wreszcie godzi się przypomnieć, że w niektórych częściach kraju, głównie w Królestwie Polskim, ruch robotniczy działał nielegalnie. Kształtowanie świadomości socjalistycznej przebiegało tu inaczej niż w zaborze austriackim — chodził mi o autonomię galicyjską — i w zaborze pruskim, gdzie po okresie ustaw wyjątkowych ruch robotniczy mógł się rozwinąć względnie swobodnie.

Co się zmieniło po odrodzeniu Polski w 1918 roku? KPRP, a później KPP cały czas działała w warunkach konspiracji, natomiast PPS była partią legalną. Konspiracja budzi określone tendencje. W warunkach prześladowań i represji rodził się niekiedy nieufny stosunek do działaczy PPS którzy swoje poglądy mogli głosić jawnie.

Oczywiście nie można do sprawy podchodzić statycznie, trzeba dostrzegać również ewolucyjną sytuację międzynarodową. W obliczu coraz bardziej butnego i groźnego faszyzmu, w warunkach zagrożenia państwowości polskiej w naszym ruchu robotniczym zachodzą korzystne zmiany. W PPS zaczyna kształtować się odłam jednolitofrontowy. Podczas wyborów samorządowych w Łodzi we wrześniu 1936 roku KPP i PPS występowały wspólnie i wspólnie też odniosły zwycięstwo. W ogóle im niżej, tym więcej było wspólnych akcji. Piękne przykłady moglibyśmy również znaleźć i w naszym regionie.

„KAMENA”: Wybuchła II wojna światowa. Hordy Hitlera dokonują najeźdu na Polskę. W dziejach narodu polskiego następuje najbardziej tragiczny okres. Grozi nam całkowita zagłada biologiczna.

Kierownictwo PPS, opanowane przez siły prawicowe, a nawet skrajnie prawicowe, podejmuje decyzję o zawieszeniu działalności PPS i w jej miejsce tworzy partię występującą pod nazwą Wolność-Równość-Niepodległość (WRN). Przy okazji dokonuje czystki, eliminując z partii wielu ludzi o poglądach lewicowych. WRN uczestniczy w rządzie emigracyjnym, występuje wrogo wobec ruchu komunistycznego i ZSRR. Jej poglądy wyraża się w słowach: „Z komunizmem nie na jedności, nie ma porozumienia, nie ma nawet dyskusji”.

Ale po najeździe na Polskę, po opanowaniu innych krajów europejskich przychodzi kolej na Związek Radziecki, kształtują się nowe sojusze. W miarę dalszego rozwoju wydarzenia stają się coraz bardziej jasne, że właśnie na Wschodzie zadecyduje się

Z. MANKOWSKI: Mimo dużych wysiłków nie udało się jednak kierownictwu PPR porozumieć z całym kierownictwem RPPS, bo w części jej działacze ciągle jeszcze tkwili uprzedzenia do ruchu komunistycznego. Ostatecznie od III Zjazdu RPPS, który odbył się we wrześniu 1943 roku, zaczął się w tej partii kształtować odłam wyznawający się za współpracę z PPR. Wpłynęła na to i sytuacja na froncie wschodnim. Coraz większe porażki wojsk hitlerowskich wyraźnie wskazywały, że szybko zbliża się wyzwolenie Polski. Wzwołanie ze Wschodu. Ostatecznie duża grupa członków RPPS nawiązała kontakty z PPR i wzięła udział w pierwszym organizacyjnym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej.

W. WÓJCIK: Przypomnijmy jeszcze, że wielu działaczy PPS, którzy znajdowali się na terenach Związku Radzieckiego, włączyło się do pracy w Związku Patriotów Polskich. Gdy po wyzwoleniu Chełma powstał PKWN, na jego czele stanął socjalista.

DROGA DO PARTII NARODU

los Polski. Zaczynają rozumieć to i lewicowi polscy socjaliści, zgrupowani wokół pism „Barykada Wolności” i „Gwardia”. W dwulecie napaści niemieckiej na Polskę, 1 września 1941 roku, powstaje partia Polskich Socjalistów, która później przyjmuje nazwę Robotniczej Partii Polskich Socjalistów (RPPS). To było ważne wydarzenie w ruchu robotniczym, ale znacznie bardziej przełomowe znaczenie miało powstanie w styczniu 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej, partii marksistowskiej, która na czoło swych zadań wysunęła hasło walki o niepodległość.

Z. MANKOWSKI: PPR jest już partią nowoczesną, która przyjmuje wszystkie zasady leninowskie, w pełni pozbywa się błędów luksemburgizmu, które, mimo przełamania ich na II Zjeździe KPRP w 1923 roku, jeszcze tu i ówdzie istniały. PPR umiała znakomicie powiązać zadania rewolucyjne, czyli klasowe, z zadaniami narodowymi, czyli patriotycznymi. To była partia w pełni dojrzała, umiała wyważyć oba zadania i pod swymi hasłami skupić siły postępowe. Przypomnijmy deklarację programową PPR. Wskazywała ona, że Polska musi się odrodzić jako państwo demokratyczne, jednolite pod względem narodowym, w nowych, piastowskich granicach. Państwo to będzie ściśle współpracowało ze Związkiem Radzieckim. Nowa Polska przeprowadzi podstawowe reformy społeczne — unarodowienie przemysłu, podział ziemi obszarniczej. Rząd ludowy, który tą Polską będzie kierował, zagwarantuje masom pracującym pełne prawo do pracy i wypoczynku, szeroki dostęp do oświaty, nauki, kultury. Deklaracja wyrażnie też podkreślała, że w ramach tego państwa klasa robotnicza będzie dążyć do zbudowania ustroju socjalistycznego.

J. DEMIDOWSKI: Polska Partia Robotnicza od samego początku swego istnienia położyła duży nacisk na problem jedności klasy robotniczej. Stąd jej wysiłki do nawiązania współpracy z lewicowym odłamek PPS. Jednocześnie PPR była partią czynną. Na represje okupanta odpowiedziała walką zbrojną. A więc nie taktyka stania z broniami nogi, ale działania partyzanckie, dezorganizacja kolejnictwa, utrudnianie przewozów wojskowych na front wschodni, wzięcie sił przeciwnika. Rosła Gwardia Ludowa, która później można było przekształcić w Armię Ludową. W jej szeregach znalazł się i PPR-owiec i RPPS-owiec i ludowy i bezpartyjny.

„KAMENA”: Mamy więc lipiec 1944 roku. Manifest Lipcowy stanowił program działania. W PKWN — rządzie rewolucyjnym — obok przedstawieli PPR i PPS zasiadają przedstawiciele SL i SD. Wytyczona w czasie okupacji linia działania PPR zaczyna się konkretnie realizować w praktyce.

J. DEMIDOWSKI: PPR i PPS stają się partiami rządzącymi. 20—21 sierpnia odbywa się w Lublinie pierwsza konferencja delegatów PPR, która wybiera Komitet Obwodowy złożony z 22 członków.

W. WÓJCIK: W sierpniu i we wrześniu zaczynają się też organizować komitety powiatowe PPS. Tymczasowy Komitet Robotniczy PPS powstaje również 21 sierpnia. 24 września tego roku przekształca się on w Wojewódzki Komitet PPS. Współpraca obu partii ma zasadnicze znaczenie dla przyszłego socjalistycznego rozwoju kraju.

H. GROSZYK: Przy okazji chcę nawiązać do prognozowania zjawisk w naukach społecznych. Jest ono niezwykle trudne. Klasyki marksizmu, mówiąc o przechodzeniu do kapitalizmu do socjalizmu, wymieniają możliwe warianty Lenin np. stwierdził, że wszystkie narody dojdą do socjalizmu, ale dojdą niejednokrotnie drogą. W naszej drodze do socjalizmu istotną rolę odegrały lewicowe siły polityczne. Zwalaszca po 1944 roku współpraca PPR i PPS, współpraca coraz bardziej zacieśniająca się, doprowadziła ostatecznie w grudniu 1948 roku do zjednoczenia się ruchu robotniczego, które odegrało zasadniczą rolę w budownictwie socjalistycznym w Polsce. To zjednoczenie dało początek ukształtowania się dzisiejszego systemu partyjnego w Polsce Ludowej.

Powstanie PZPR stało się impulsem do konsolidacji także ruchu ludowego: w 1949 roku na mapie politycznej kraju pojawiło się jedno Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. Powstał system partyjny: PZPR jako siła kierownicza oraz ZSL i SD jako stronnictwa współpracujące krajem.

Inna kwestia, którą wówczas, w chwili zjednoczenia ruchu robotniczego wyjaśniono, to charakter naszego państwa. Dziś wszystko jest jasne. Wiadomo, że demokracja ludowa była od początku formą państwa socjalistycznego i niemal od pierwszych momentów spełniała funkcję dyktatury proletariatu. Wówczas te kwestie tak jasne jednak nie były. Lansowano poglądy, że demokracja

ludowa nie spełnia funkcji dyktatury proletariatu. W okresie przed zjednoczeniem ruchu robotniczego mieliśmy liczne dyskusje na ten temat.

Zasługą Kongresu Zjednoczeniowego jest, że postawił on przyszłową kropkę nad i — dał odpowiedź twierdzącą. Obecnie widzimy raczej tego stanowiska. Po nowelizacji naszej konstytucji w 1976 roku jej pierwszy artykuł stwierdza, że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem socjalistycznym. Dawne określenie konstytucji, że kraj nasz jest demokracją ludową przeszło już do historii, tak jak dyskusje sprzed lat trzydziestu.

S. KOZŁOWSKI: Program reform społecznych, który znalazł wyraz w deklaracji programowej PPR, w Manifestie Lipcowym, był konsekwentnie realizowany od samego początku. Reforma rolna dała ziemię bezrolnym chłopom i powiększyła areal dobrych posiadaczy. W ten sposób ludzie ci, często niezorientowani, na których oddziaływały różne siły, związały się z władzą ludową. Później nastąpiła nacjonalizacja przemysłu — kolejny etap naszej rewolucji. Ale nacjonalizacja — od dwóch — trzech lat notujemy takie stwierdzenia w literaturze ekonomicznej — nie oznaczała jeszcze uspołecznienia środków produkcji. Proces uspołeczniania jest procesem powstawania, narastania elementów demokratycznych w tej własności państwowej. To była jedynie prawna, choć bardzo istotna, decyzja zmieniająca właściciela. Własność społeczna narasta w trakcie lat, w trakcie procesu demokratyzacji. To samo da się powiedzieć o świadomości, której nie można zadekretować.

„KAMENA”: Przeskoczyliśmy trochę wydarzenia. Towarzysz Demidowski mówił o tym, że PPR od początku swego istnienia położyła duży nacisk na problem jedności ruchu robotniczego. Wielu członków PPS, wbrew zaleceniom londyńskiego kierownictwa WRN, które pewne wpływy w społeczeństwie jeszcze posiadało, przystąpiło do pracy nad odbudową przemysłu, nad realizacją reformy rolnej. Ale przecież nie można powiedzieć, że budowanie tej jedności odbywało się bez zrytów. Utworzenie rządu jedności narodowej, jawna działalność mikołajczykowski, opanoczonego PSL, zrodziła w niektórych kręgach PPS tendencje do rywalizacji z PPR. Z drugiej strony w niektórych ogniwach PPR dążyło o sobie znać sekiarskie wyznaczenia. Aktyw, który miał doświadczenia z pracy konsolidacyjnej, nie zawsze umiał w dostatecznej mierze stosować metod i form właściwych partii znajdujących się u władzy.

W. WÓJCIK: Trudności, mniejsze czy większe, musiały się pojawić i temu, biorąc pod uwagę chociażby całą dotychczasową historię polskiego ruchu robotniczego, dziwić się nie należy. A dodać trzeba, że w kraju mieliśmy skomplikowaną sytuację wewnętrzną, działały liczne bołówki reakcyjne, które chciały poprzez mordy, poprzez terror zatrzymać socjalistyczne przeobrażenia. Nie orosła była również sytuacja międzynarodowa, w miarę czasu zaczęła narastać zimna wojna, coraz obciążniej odzywały się na Zachodzie głosy kwestionujące granice na Odrze i Nysie. Na pewne wydarzenia niekorzystny wpływ mogło mieć również zjawisko pogłębiające się kultu jednostki, chociaż to już wbiegam nieco w przeszłość.

Nie mniej duże znaczenie dla jedności organizacyjnej obu partii robotniczych miała przedstawiona po raz pierwszy publicznie umowa o jedność działania i współpracy z 28 listopada 1948 roku. W Lublinie na mimo ówczesnej części kierownictwa WK PPS wydana okólnik na ten temat i postanowiono, aby co dwa tygodnie odbywały się zebraństwa trójki politycznych obu partii w celu ideowego zbliżenia.

J. DEMIDOWSKI: Ze strony PPR do trójki politycznej na szczyble wojewódzkim wchodziłi towarzysze: Paweł Dabek, Jan Klechaj i Stanisław Szwed.

W. WÓJCIK: Właśnie. Składu trójki PPS nie pamiętam. To jednak nie jest istotne, bo nie chodzi tu przecież o takie czy inne nazwiska. Faktem jest, że w zakładach pracy zaczęły się odbywać wspólne posiedzenia PPR i PPS. Zmarły niedawno prof. dr Stanisław Krzykała przypomina w swej pracy, jak to na zebraniu kół PPR i PPS w dyrekcji kolei wszyscy obecni zga-

dział się z uchwałami Rady Naczelnej PPS, uznając jednolity front za zaawansowaną linię polityczną. A w fabryce obuwia im. M. Buczka członkowie PPR krytykowali członków PPS za to, że nie biorą udziału w pracach ORMO. W Centrali Skór Surowych dokonano jednoczesnego wręczenia sztandarów obu partii i wygłoszono referat na temat współpracy PPR i PPS. W fabryce „Veritas” (obecnej „Pszczółce”) mówiono, że współpraca jest konieczna, bo „wrogów mamy na prawicy, a przyjaciele są tylko na lewo”.

„KAMENA”: Można tu mówić jeszcze o tworzeniu jednolitych organizacji związkowych, to też był teren wzajemnie zacieśniającej się współpracy, współpracy w działaniu. Można mówić o integracji ruchu młodzieżowego, czego wyrazem było zjednoczenie tego ruchu i powstanie Związku Młodzieży Polskiej. Owszem takie czy inne różnice istniały, ale był również cel nadrzędny, który stanowił niepodważalną więź. Celem było budowa Polski Ludowej. Zdajemy sobie sprawę, że wiele tu by jeszcze można problemów poruszyć, bo droga do Kongresu Zjednoczeniowego nie zawsze przebiegała prosto. Ale do zjednoczenia jednak doszło, bo dojść musiało. Zapewne sierpniowo-wrześniowe plenum KC PPR w 1948 roku i wytyczony na tym plenum kierunek zakładający przyspieszenie tempa przemian socjalistycznych, zwłaszcza na wsi, podjęta rezolucja w sprawie odchylenia prawicowego i nacjonalistycznego w kierownictwie partii, jego źródła i treści oraz sposobach przeciwdziałania powodowały pewne problemy, z drugiej jednak strony spowodowały, że w tym nowym klimacie kierownictwo PPS poddało ostrzejszej krytyce dotychczasową politykę swej partii.

A. KOPRUKOWNIAK: Gdy mówimy o zjednoczeniu, trzeba podkreślić, że dokonało się to nie tylko zjednoczenie organizacyjne, ale także ideologiczne. Powstała partia o wyraźnie uprofilowanej ideologii marksizmu-leninizmu. Przed zjednoczeniem toczyło się jednak wiele dyskusji, mających na celu opracowanie właściwej platformy ideologicznej, politycznej, ekonomicznej. Dyskusja była potrzebna po to, by ta nowa partia mogła sprawować kierowniczą rolę w odniesieniu do klasy robotniczej i całego społeczeństwa. Kongres Zjednoczeniowy stanowił pewien szlak milowy w dojrzewaniu partii — od partii klasy robotniczej do partii narodu, o czym możemy mówić po trzydziestu latach od chwili zjednoczenia, podkreślając, że jest to stały proces.

I jeszcze chciałem dwie sprawy wypunktować. Zjednoczona partia w swej deklaracji ideowo-programowej wyraźnie określiła, iż niezależność, suwerenność narodowa, rozwój narodowy, bezpieczeństwo Polski jest możliwe wyłącznie w ścisłym sojuszu ze Związkiem Radzieckim. I druga: partia, kształtując platformę socjalistycznego rozwoju naszego kraju, nawiązywała do tradycji narodo-patriotycznej polskiego ruchu rewolucyjnego. Znalazło to swój wyraz w bardzo trafnym stwierdzeniu, że partia walczyć będzie o wychowanie mas ludowych w duchu ofiarności dla ojczyzny i w duchu prawdziwego patriotyzmu, który jest nierozdzielnie związany z proletariackim internacjonalizmem. A więc wierność tej zasadzie, która legła u podstaw kształtowania się polskiego ruchu robotniczego w wieku XIX, tu znalazła konkretyzację, rozwinięcie i dzisiaj mamy potwierdzenie tego w wielopłaszczyznowej współpracy naszego państwa z innymi państwami obozu socjalizmu.

„KAMENA”: Docent Koprucki zwrócił naszą uwagę na kapitalny problem. Od partii klasy robotniczej — do partii narodu. PZPR na Zjeździe Zjednoczeniowym nakreśliła wizję Planu Sześcioletniego. Plan ten, jak i następnie, zrealizowaliśmy. Kraj nasz przeszedł ogromne przeobrażenia i przechodzi je nadal. Znaleźliśmy się w czołowie uprzemysłowionych krajów świata. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że Polska nie byłaby taka, jaka jest, gdyby nie zjednoczenie ruchu robotniczego, którego to zjednoczenia trzydziestą rocznicę będziemy wkrótce obchodzić.

W „Romie” i auli Politechniki



PAWEŁ Dąbek niedawno obchodził siedemdziesiątą rocznicę urodzin i wówczas my, dziennikarze, przypominaliśmy na łamach prasy jego piękny i bogaty życiorys — Budowniczego Polski Ludowej. Urodzony w podlubelskiej wsi nigdy właściwie nie opuścił Lubelszczyzny. Tutaj już w 1931 r. nawiązał kontakt z Komunistyczną Partią Polski, na polach Lubelszczyzny walczył w 1939 r. w szeregach zgrupowania generała Kleeberga, jego działalność konspiracyjna, m. in. na stanowisku dowódcy Lubelskiego Okręgu Gwardii Ludowej, jego śmiała ucieczka z Majdanka — są dobrze znane. W latach powojennych Paweł Dąbek sprawował w Lublinie wysokie funkcje partyjne i administracyjne, był m. in. sekretarzem wojewódzkim PPR i PZPR oraz wojewodą lubelskim i przewodniczącym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie przez 16 lat.

Przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, prezes Wojewódzkiego Zarządu i członek najwyższych władz ZBoWiD, członek Egzekutywy KW PZPR w Lublinie, poseł na Sejm, to tylko niektóre z funkcji, jakie Paweł Dąbek sprawuje obecnie.

Dzisiaj, kiedy odwiedzam Pawła Dąbka w jego gabinecie, rozmawiamy o Kongresie Zjednoczeniowym w grudniu 1948 r. Paweł Dąbek w trakcie rozmowy pokazuje mi czerwone książeczki legitymacyjne: mandat nr 816 z I Zjazdu PPR z 6 grudnia 1945 r., mandat oznaczony numerem 535 stwierdzający, że Paweł Dąbek jest delegatem na II Zjazd PPR w dniu 14 grudnia 1948 r., i wreszcie — mandat nr 801 na Kongres Zjednoczeniowy w dniu 15 grudnia 1948 r.

Okręgi przygotowań do Kongresu Zjednoczeniowego przebiegał w atmosferze ogromnego zainteresowania nie tylko członków obydwu partii, ale i całego

społeczeństwa. Siedzono wiadomości i artykuły ukazujące się codziennie w gazetach, podejmowano zobowiązania produkcyjne dla uczczenia Kongresu.

Cala Lubelszczyzna uczyła pracę dzieła Zjednoczenia Partii Robotniczych, informował „Sztandar Ludu”. W Biłgoraju postanowiono wcześniej ukończyć budowę kliniki, wybudować w stanie surowym gmach Powiatowej Rady Narodowej. W Hrubieszowie m.in. pracownicy drogowi zobowiązali się do wyrownania 25 kilometrów drogi gruntowej, wybudowania trzech mostów pod Wereszynom, zasadzenia 1500 drzewek przy drogach. Zarząd Miejski w Chełmie postanowił wybudować pierwsze i drugie piętro szpitala powiatowego, odremontować ulicę Kolejową, zaś miejska betoniarńia — wykonać do 1 grudnia plan roczny w 120 procentach. Lubelscy „Buczkowcy”, pracownicy znanej fabryki butów, osiągnęli dzienną produkcję 800 par obuwia. Miejski Komitet Współdziałania PPR i PPS w Lublinie zwrócił się do młodzieży z apelem o przedterminowe wykonywanie i przekraczanie planów, o porządkowanie ulic. Nawoływano do dyskusji nad projektem statutu zjednoczonej partii, ogniwa organizacyjne wybierały delegatów na Kongres.

Na miejskiej Konferencji wyborczej delegatów PPR, która odbyła się w niedzielę, 29 listopada, w Lublinie wzięło udział między innymi delegatem na Kongres Paweł Dąbek. Pułkownik „Paweł”, wówczas sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PPR, był już posłem na Sejm Ustawodawczy.

Paweł Dąbek wraz z innymi lubelskimi delegatami PPR uczestniczył 14 grudnia 1948 r. w sali „Romy” przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie w obradach II Zjazdu PPR. Był jednym z 1008 delegatów z całej Polski, którzy burzliwymi oklaskami przyjęli sprawo-

zanie Komitetu Centralnego PPR i długą chwilą milczenia uczcili pamięć tych wszystkich, którzy oddali życie w walce o ruch robotniczy. Projekt uchwały w sprawie zjednoczenia PPR z PPS odczytał Aleksander Zawadzki. Potem podniósł się w górę las rąk z mandatai zjazdowymi. I wreszcie padły słowa Bieruta: *Na tym zakończiliśmy obrady. Spotkamy się jutro jako delegaci na pierwszy Kongres PZPR.*

Tego samego dnia odbył się w Teatrze Polskim w Warszawie XXVIII Kongres PPS.

15 grudnia, już od 8 rano zaczęli do nowo odbudowanej auli Politechniki Warszawskiej napływać delegaci PPR i PPS. Wkrótce pojawili się przedstawiciele stronnictw chłopskich, Stronnictwa Demokratycznego i Stronnictwa Pracy, miejsca boczne zajmowały delegacje zagranicznych partii robotniczych i komunistycznych. O godz. 10.12 za stołem prezydialnym pojawił się owaacyjnie witany prezydent Bolesław Bierut. Przemówił: *Towarzysze! Rodacy! Droży Goście! Radosną, od dawna oczekiwaną chwilę przeżywa dziś polska klasa robotnicza; zjazdy PPR i PPS postanowiły utworzyć jedną partię. Rozłam w ruchu robotniczym został zlikwidowany. Jedność zwyciężyła. [...]*

Sala powstała z miejsc, popłynęły słowa „Międzynarodówki”...

Siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu naprzeciw siebie, przy końcu długiego, lśniącego stołu obrad Prezydium Wojewódzkiego Komitetu FJN; a potem Paweł Dąbek mówi: *Na Kongresie przyjęto m.in. uchwałę o Planie 6-letnim, pierwszym wielkim, z rozmachem pomyślanym przedsięwzięciu społecznogospodarczym na najbliższe lata. Miało go już przeprowadzić wysiłkiem nowej, zjednoczonej partii robotniczej.*

M.D.

Dokończenie ze str. 5

ność polską, zaś na wschodnim brzegu podobnie działali mieszkańcy wsi Charsy i Przyborowo. Tak więc na początku 1944 roku przeprowadziła się pierwsza grupa z Brygady im. Wandy Wasilewskiej dowodzona przez mjr. „Borysa” (Borys Kołozhenko). Nieco później przybyła grupa mjr. „Gory” (Michał Głumow) i mjr. „Stiepanowa” (Flodor Manzejenko) ze zgrupowania płk. „Czornego” (Iwan Banow). W lutym przeprowadziła się przez Bug trzecia grupa tego zgrupowania.

Polska ludność pomagała również grupom partyzanckim przeprowadzającym się na wschodni brzeg Bugu. Tak np. w styczniu pomogła przejść przez rzekę grupie mjr. „Flodora” (Flodor Kowalow), zaś w marcu ułatwiła przeprowadzenie delegacji Krajowej Rady Narodowej wysłanej do Moskwy.

Również w ciągu marca przybyły na polską stronę główne siły Brygady im. Wandy Wasilewskiej pod dowództwem Stanisława Szelesta i Wiktora Kremienieckiego, oddział im. Zawiszy Czarnego dowodzony przez por. Czesława Baczyńskiego i oddział im. Stefana Czarnieckiego ze zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz główne siły zgru-

powania płk. „Czornego”. W nocy z 19 na 20 marca poniżej Różanki przeprowadziła się grupa kpt. „Bielowa” (Anatol Kowalenko) z oddziału ppłk. Nikołaja Prokopiuka. Nocą z 26 na 27 marca koło Szuminki przeszła Bug 30-osobowa grupa kpt. Hermana Muchina, również z oddziału Prokopiuka.

W kwietniu przybył z Polesia oddział im. Jana Kilińskiego ze składu zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła” z szefem sztabu mjr. Wincentym Rożkowskim, później zaś — oddział płk. Roberta Satanowskiego dowodzącego całym tym zgrupowaniem. W nocy z 14 na 15 kwietnia koło wsi Charsy przeprowadził się oddział im. Józefa Stalina dowodzony przez kpt. „Muchę” (Mikołaj Kunicki).

Mimo zwiększonej czujności Niemców napływ oddziałów partyzantów z Polesia trwał. Nocą z 8 na 9 maja koło Stawek sformował Bug oddział ppłk. Prokopiuka liczący 176 ludzi. Wreszcie na przełomie maja i czerwca w kilku grupach przeszły Bug oddziały 27 wolińskiej dywizji Armii Krajowej.

Największą popularność wśród ludności Polesia Włodawskiego zdobyło zgrupowanie „Jeszcze Polska nie zginęła”. Okolicezna ludność napływała do niego bar-

dzo licznie, dzięki czemu można było utworzyć pięć nowych oddziałów. Bazą zgrupowania były lasy koło wsi Horostyta. W szeregach tych oddziałów mieszkający podwłodawskich miejscowości stoczyli wiele walk z okupantem, zaś po wyzwoleniu wstąpili zbiorowo do 8 dywizji Ludowego Wojska Polskiego. Wielu z nich poległo w walkach na terenie Łużyc, ale jeszcze więcej powróciło i do dziś działa ofiarnie na swoich odcinkach pracy.

Pamięć opisywanych wydarzeń włodawski ZBoWiD słusznie postanowił uczcić pomnikiem. Jego projekt stworzył artysta — rzeźbiarz lubelski Marian Pudełko, który też zbudował go na terenie parku w Różance. Pomnik — na razie nieukończony — przedstawia dębowy liść przedziurawiony kulą. Prosta sylweta i surowy wyraz pomnika dobrze oddają charakter tamtych czasów, których treścią była nieustępliwa walka z okupantem. Kiedy pomnik zostanie ukończony i odsłonięty, dobrze będzie służył przypomnieniu historii nadbużańskiego zakątka i całej Lubelszczyzny.

Leszek Siemion

POMNIK W RÓZANCE

Pochwała

nowej inscenizacji

„Dziadów”

Maria Bechcyc-Rudnicka

JEST dla mnie rzeczą jasną, niejako nakazem logiki, że przy ocenie nowej inscenizacji „Dziadów” Anno Domini 1978, opracowanej przez Adama Hanuszkiewicza, należy brać za punkt wyjścia dwa kardynalne fakty: 1. wybór dla tego spektaklu Teatru Narodowego — jego filii, Teatru Małego i 2. decyzję zrealizowania tylko najważniejszej, najdojrzalszej części dzieła — części III.

Teatr Mały. Otóż, poczynając od pierwszej inscenizacji powojennej (17.12.1954 — Opole, Teatr im. J. Słowackiego, opracowanie i reżyseria J. Ronard Bujański), wystawiono „Dziady” w Polsce Ludowej przed Hanuszkiewiczem 21 razy. Z tej liczby tylko dwóch reżyserów inscenizowało je „awangardowo”: Konrad Swinarski (1973) i Kazimierz Braun (1977). A żaden z nich nie miał dla współczesnego „kostiumu” części III tak sprzyjających warunków lokalowych, jakie miał Adam Hanuszkiewicz. Braun rozegrał część III na scenie pudełkowej, przy czym osłabił związek „Ustępu” ze sceną „Balu” wędrowną przez miasto do BWA. Swinarski zaś zbudował na widowni pomost, który w pewnym stopniu rozprzął uwagę widza. Co do mnie np., przyznam się bez fałszywego wstydu, że już pod koniec „Obrzędu”, rozegranego wśród ludzi w foyer, zaczęła zaprzętać moją myśl obawa, iż nie dostanę się na dobre miejsce przy pomoście. Obawy nie ziszczyły: docierały do mnie niespełna zarówno zapasy aniołów i diabłów za moimi plecami, jak to, co się działo daleko — w pudle scenicznym. A w ogóle wkroczenia na pomost, będący w gruncie rzeczy estradą, przekształcały się w pokaz, przy którym współuczucie z postaciami przechodzi w ich obserwację, podczas gdy Mickiewicz ustawicznie kładzie nacisk właśnie na czucie.

Nie zewnętrznym, przestrzennym „przybliżeniem do widza” oferowanego jego wrażliwości dzieła uzyskuje się owo czucie, lecz umożliwieniem widzowi pełnej koncentracji odbiorczej — koncentracją wykonawczą. Taką koncentrację, percepcyjną potrafiły przecież wytwarzać dobre spektakle odbywające się na scenie pudełkowej. Hanuszkiewicz, wystawiając „Dziady” *en rond*, uzyskał ją również. Uzyskał dlatego, że w sali Teatru Małego, jednej z najpiękniejszych sal teatralnych Europy, zaprojektowanej specjalnie dla inscenizacji współczesnych, dzianie się teatralne niejako wylania się organicznie z miejsca do grania, którym jest cała sala.

Sprawa druga. Po raz pierwszy w historii teatru wystawił „Dziady” w całości Kazimierz Braun. Z małymi skreśleniami reżyserkimi (zachowując 5303 wersze wobec 6227 Mickiewiczowskiego oryginału). Spektakl trwał 7 godzin (przy podziale na dwa wieczory — 3 i 1/2 godziny). Inscenizacja Brauna miała swoje dobre momenty, choćby w części IV, gdzie Bogusław Kiere — Gustaw udanie wydobyl z tekstu najmocniejsze akcenty liryczne (zwłaszcza z monologu „Więc ostatni przesłodził odrzuciła szczytek...”). Ale otrzymaliśmy zarazem dowód, że przy całościowym potraktowaniu teatralnym tekstu „Dziadów” zachodzi jakby proces niwelacji problematyki poszczególnych części dzieła.

W 56 przypadkach wystawienia „Dziadów” przed inscenizacją Brauna (poczynając od wystawienia fragmentów części III — 3.9.1848 w krakowskim Teatrze Narodowym) realizowano dzieło nie w pełnej objętości. Oczywiście różne były po temu powody. Ale w każdym bądź razie jeszcze w okresie międzywojennym inscenizator dokonywał wyboru części

czy passusów. Miał do tego prawo, bo biorąc na warsztat dzieło wszak heterogeniczne stawał przed koniecznością adaptacji, związanej z różnymi rezygnacjami.

Adam Hanuszkiewicz zdecydował się na część III (zresztą nie on pierwszy, gdyż w kwietniu 1962 r. wystawiono również tylko część III w katowickim Teatrze Śląskim, w adaptacji i reżyserii Jerzego Kreczmara), wybrał część III czyli tę, która została stworzona wkrótce po upadku powstania i choć mówi ona o wydarzeniach wcześniejszych, lecz w oczywisty sposób nie traktuje wileńskiego ruchu młodzieżowego 1823 r. jako zjawiska peryferyjnego. Stąd ogromna żarliwość tego tekstu, stąd zawarta w nim wizja dalszych perspektyw losu Polski.

Skoro wybrał Hanuszkiewicz czas historyczny o takiej wadze, nie godzi się zbywać jego inscenizacji mianem „wspominki”, jak to miało miejsce w jednej z recenzji. Czyż nie ze „wspominków” właśnie zrezygnował inscenizator rezygnując z „Obrzędu” — uroczystości... obchodzonej (...) na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Czy nie zrezygnował ze „wspominków” rezygnując z części IV z jej wątkiem cierpienia po utracie Maryli?

Tak zwane „przybliżenie” utworów klasycznych do współczesnego widza odbywa się u nas niekiedy w uzależnieniu od osobistej postawy historyzoficznej. Ale bierzemy w dany przypadku pod uwagę rzetelną pracę inscenizatorską.

Otóż niezaprzeczną jest rzeczą, że w części III dzieła Wielka Improwizacja to monolog ponadczasowy, jak — powiedzmy — słynny monolog Hamleta, ba, rzecz by można że przewyższa go Improwizacja rozpiętością zagadnienia, wnikliwością, odwagą, poletem myśli, napięciem emocjonalnym. Ergo nie zachodzi tu potrzeba „przybliżenia” do naszych czasów, w których pamięta się najokrutniejszą z wojen i obozy zagłady — do czasów, kiedy „brudne wojny” toczą się pod różnymi równoleżnikami kuli ziemskiej, kiedy się żyje stale pod groźbą destrukcji atomowej. Można by powiedzieć, że natężenie gniewnej żarliwości w Wielkiej Improwizacji było wręcz prekursorskie.

Nie potrzebuje w zasadzie „przybliżania” ponadczasowy „hymn” wolności, jakim jest przecież scena w celi Konrada, choć akcja jej toczy się nie w naszym czasie historycznym. Wołanie o wolność jest zakodowane w człowieku przez naturę. Chodzi wszakże o dostrzeżenie różnicy między realnymi a urojonymi uwarunkowaniami powodującymi nasilenie tego wołania. Uważam, że inscenizacja Hanuszkiewicza zachowała właściwe proporcje.

Spektakl poprzedza piękna muzyka Czesława Niemena, oparta na chorałach gregoriańskich. Akcja zaczyna się wkroczeniem na stały podest nad sceną — pocztu zakonników z płonącymi świecami, którzy ustawiają się hieratycznie w jednym rzędzie wzdłuż ściany. Przewodzący, pozostając przed centralną bramą, wygłasza dedykację: *Narodowej Sprawy Męczennikom...* (zabrzmił tu bardzo przejmująco głos Władysława Krasnowieckiego). Pod recytatywy mnichów podłożył Hanuszkiewicz fragmenty „Drogi do Rosji”, „Przedmieście stolicy” i in. Ten oto Prolog zastępuje folklorystyczny „Obrzęd” i przede wszystkim usadnia się w klasztorze bazylianów. W przeniesieniu tekstów „Ustępu” z finału poematu do owego Prologu, śpiewanego przez osoby duchowne, widziałabym (może mimo” Hanuszkiewicza) trafne uświadomienie spektaklu.

Nie miałam w ręku egzemplarza reżyserkiego, ale tak z pierwszego wejrze-

nia sędzę, że inscenizator nie dokonał zbyt wielu interpolacji i przemieszczeń. No, do już wymienionych dochodzi jeszcze przeniesienie z „Domu pod Lwowem” — Ewy, która w inscenizacji Hanuszkiewicza przekazuje swe sielskie Widzenie klęcząc przed łóżkiem śpiącego Konrada. Cóż poza tym? Ma się rozumieć, skoro nie ma „Obrzędu”, konsekwentnie została też usunięta „Noc dziadów”.

I wreszcie owo nieszczęsne, gdzieś już zaatakowane nałożenie fragmentu maligny Senatora (ze sceny VI) na widzenie Księdza Piotra. Cóż, „symulanki” są nader często stosowane przez wczorajszą awangardę i nikt za nie nikogo nie potępia, tylko że tu chodzi o tekst poświęcony tradycji narodowej — tekst nad którym się ludzie od lat głowili, zwłaszcza w czasie okupacji. Tedy gubić się w domysłach. Może chodziło inscenizatorowi po prostu o „odświeżenie” formalne, a może jednak... Wiem tylko, że Julian Przyboś pisał kiedyś (v. Około „Dziadów” w „Czytając Mickiewicza”): *Sceny nie układają się jedna po drugiej warstwami, lecz się wzajemnie przenikają. Należy je wywołać w wyobraźni równocześnie. Uczucie poruszone Improwizacją trzeba owionąć wzruszeniem obudzoną sceną w domu wiejskim pod Lwowem. Widzenie księdza Piotra, lapidarne, o zbyt natarczywej interpreta-*



Teatr Mały Teatru Narodowego w Warszawie. Adam Hanuszkiewicz „Dziady” część III. Grupa filomatów. Pierwszy z prawej — Krzysztof Kolberger (Konrad)

Fot. C. M. Langda

cji alegorycznej, związane jest czasem z koszmarnym snem Senatora. Jak mocny i okrutny obraz powstanie w wyobraźni czytelnika, jeśli zespoły te dwie sceny w jeden akt włoży.

Na taką przysługę technika teatru współczesnego pozwalała.

A teraz z kolei sprawa aury „metafizycznej”. Przecież nastrój modlitewny w Prologu był niewątpliwie. Aniołowie i diabli w celi i gdzie im tekst nakazywał był? — Byli. A że odziani „po cywilnemu”. Trudno, nie sposób przecie, grając *en rond*, szokować widza z bliska butaforskimi skrzydłami i ogonami. To nie szopka. Współczesny widz i bez tego rozumie że tu chodzi o rzeczy wielkie, o kosmiczną walkę Dobra ze Złem.

Słowem, uważam inscenizację Adama Hanuszkiewicza za angażującą współ-

czesnego widza intelektualnie i emocjo-

nie. Pomijając w dalszym ciągu relacje detale, powiedzmy coś nieośmielnie o aktorach. Niewątpliwie na czoło wysuwa się wielka kreacja Elżbiety Barszczewskiej, występującej gościnnie w roli Robinsonowej, aby przekazać całą głębię miłości i rozpaczy tej matki, jakże szlachetny trzeba mieć gatunek artysty!

Krzysztof Kolberger, aktor przecie nie od dziś znany z teatru i ekranu całej Polsce, w roli Konrada wywiązał się z zadania na ogół dobrze. Nie zapominałmy, że Gustaw został poza nawiasem inscenizacji, co pozbawia rolę wielu jej scenicznych ałów. W części III „Dziadów” egzaminem możliwości aktora jest oczywiście Wielka Improwizacja. Kolberger włożył w nią dużo pasji, może nawet za dużo. Chwilami lasky nie wytrzymywał napięcia, „tracił oddech”. Lecz szczerze mówiąc nie umiem powiedzieć, kto wykazał się dotąd totalną perfekcją w podaniu tego aktu oskarżenia o niedoścignionym wzlocie postycykiem. I tu przychodzi mi na myśl, że warto, by kierownictwo „odnośnej” redakcji TV zechciało zorganizować audycję, podczas której moglibyśmy posłuchać Wielkiej Improwizacji w wykonaniu kilku naszych czołowych aktorów, jak to miało miejsce w przypadku monologu Hamleta.

Dotarli już do mej wiadomości zarzuty wytoczone pod adresem Jana Tesarza — Senatora. Odniosłam ze swej strony wrażenie, że jest on jak na czas historyczny „Dziadów” zbyt jednostajnie brutalny (brakuje stworzonej przez niego postaci — przebieg kontrastowych, którymi olśniewał u Swinarskiego Wiktor Sadecki). Ale zadaje sobie kolejne pytanie, czy nie mamy tu do czynienia z zamierzonym sprymitywizowaniem Senatora celem przybliżenia do pojęć współczesnego powojennego widza?

Nie kwestionuje się natomiast osiągnięć Henryka Machalicy przekazującego w roli Księdza Piotra autentyczną chrześcijańską pokorę i prorocze natchnienie bez teatralnego efekciarstwa. Należy się poza tym dobre słowo Tadeuszowi Janeczkarowi za poczciwego Kaprała, Januszowi Kłosińskiemu za postać Doktora, Edwardowi Rauchowi — za „pełnokrwistą” postać Bajkowa, Janinie Nowickiej za Kmiłową, Zygmunta Fokowa za jednego z Literatów. I na pewno należy się uznanie jeszcze innym wykonawcom — nie byłam w stanie wyselekcjonować w tej ogromnej obsadzie najlepszych, za mało znam aktualny zespół Teatru Narodowego. Zresztą program nie ujawnia szczególnie naz-

Jurij Bondariew

Dlaczego jego dłoń uściskał?

GOLĄC się z rana przed lustrem zobaczyłem z dużym niezadowolaniem bladą twarz i zmarszczki pod oczami, uśmiechające się jak gdyby do kogoś zbyt dobrotliwie. Przypomniałem sobie z niesmakiem, jak spokiłem wczoraj w drzwiach laboratorium młodego szczęściarza — profesora, który robi dziwnie szybką karierę w nauce. Karierę tę trudno byłoby wytłumaczyć szczególną jego umysłowością czy wybitnym talentem. Piął się; on jednak uparcie w górę: obronił pracę doktorską, kończył już rozprawę habilitacyjną, zaskakiwał kolegów-rówieśników błyskawicznymi awansami i umiejętnością podobania się władzy zwierzchniej.

Nie lubiliśmy się nawzajem, ledwie kłanialiśmy się sobie z daleka. Nasz stosunek wzajemny był takim również w momencie owego spiknięcia się w drzwiach. On zobaczywszy mnie wyszczerzył błyskawicznie zęby w uszczęśliwionym uśmiechu, wyrzucając z siebie całą lawinę radości, w oczach jego zabłysnął zachwyt z faktu tego niespodziewanego spotkania. Uściskał mi rękę mówiąc:

— Bardzo, bardzo się cieszę, że widzę pana, kolego! Czytałem niedawno pański wspaniały artykuł na temat Antarktydy i bardzo żałuję, że

nie zajmujemy się wspólnie jakimś tematem.

Wiedziałem, że kłamie. Jego bowiem stosunek do mojej pracy był zawsze obojętny. Chciałem więc odpowiedzieć sucho grzecznościowo-banalnymi słowami w rodzaju „dziękuję”, „cieszę się”, ale też wyszczerzyłem zęby w uradowanym uśmiechu, potraszając jego ręką przeciągle, tak długo, że mi się wydawało, iż jego przerażone palce próbowały w pewnym momencie wydostać się z mojej dłoni, gdy ja trzymając ciągle jego rękę mówiłem uszczęśliwiony:

— Słyszałem, że pisze pan habilitację? Cóż, wspaniale, nie traci pan czasu, bardzo mi się podoba pański poważny stosunek do pracy, panie profesorze!

Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, wypowiadałem okragłe, obłe fazy jakby pod dyktando i czulem mięśniami twarzy swój słodki uśmiech.

I to wstrętne wycucie własnego psiego uśmiechu z przeciągłym potrząśnięciem jego ręki, i samo brzmienie mego głosu przesładowało mnie przez całe życie. O, jakżem się po tem zżymał, zgrzytał zębami, klnąc i psłocząc na jakiegoś drugiego człowieka w sobie, który w pewnych sytuacjach bywał silniejszy od woli i rozumu.

Co to było? Samoobrona? Rozsądek? Instykt niewolnika? Młody profesor nie był bardziej utalentowany, mądrzejszy ode mnie, ponadto zajmował stanowisko w instytucji zależnej od badań w moim laboratorium, które w żadnym przypadku od niego nie zależało. Dlaczego więc z tak słodkim upojeniem potrząsałem rękę temu karierowiczowi i mówiłem do niego te obłudne frazy?

Gołąc się z rana zobaczyłem swą twarz i nagle pojawiła się we mnie wściekłość na tego bliskiego mi człowieka w lustrze, zdolnego do udawania, małoduszności, podlizywania się, jak gdyby miał zamiar przeżyć dwa życia i we wszystkich drzwicach przejściowych chciał zabezpieczyć sobie cały ten okres doczesny.

Chwilka

POWIEDZIAŁA tuż się do niego: — Boże, jak szybko młodość minęła. Kochaliśmy się, czy też nie — jakżeż czasu pomnieć o tym można? Ileż to czasu upłynęło od momentu, kiedyśmy się poznali — godzina czy życie całe? Światło było zgaszone, spoza ciemnych okien dochodził przygłuszony, coraz cichszy szum mrocznej ulicy. Jednostajnie zegar nastawiony na pół do siódmej (on o tym wiedział), — wszystko więc było zwyczajne, bez zmian, jak owa północ i ranek jutrzejszy, co bezwzględnie nastąpić musi, to zwyczajne budzenie się, mycie, gimnastyka, śniadanie, praca...



Rys. E. Ingłot

I nagle dzwonne odzwanie zatrzymanego koła czasu, obracającego się codziennie i co nocy jakby poza świadomością, wyrwało go i poniosło w śliską otchłębność nieskończoności, gdzie nie ma dnia, ani nocy, ni ciemności, ni światła, gdzie nie ma się o co zapamiętać. Poczuli się cieniem bez cielesnym, odbiciem niewidzialnego przedmiotu bez wymiarów i formy bez przeszłości i teraźniejszości, bez życiorysu, cierpień, pożądań, strachu, bez rachunku lat własnego istnienia.

Całe jego życie skomasowało się w jednej chwili i w niej jak gdyby przepadło.

Nie mógł ogarnąć pamięcią przeżytych lat, dokonanych spraw, spełnionych nadziei, młodości, miłości, narodzin dzieci, radości z dobrego zdrowia (te lata przeszły nagle, zniknęły, gdzieś się pogrzebały), nie mógł też wyobrazić sobie przyszłości — czyż nie tak czuje się ziarenko piasku zagubione w niewymiernym wszechświecie i skazanie na rozplynięcie się w jego czarnej przestrzeni?

Była to jednak chwilka nie ziarenka piasku, lecz starszego człowieka. Był to moment całkowitego zmęczenia. Uchwyczone zostały i pojęte owe ostateczne sekundy otwartej bramy do starości, do otchłani samotności. Ogarnęła go litość wielka nad sobą i nad tą kobietą, którą zawsze bezwzględnie kochał, z którą przeżył i dzielił w życiu wszystko, bez której nie wyobraził sobie swojego istnienia na ziemi. I pomyślał sobie, że jeśli ona zawsze taka powściągliwa powiedziała o czasie minionym, to strata dotknęła nie tylko jego.

Ucałował ją chłodnymi ustami i szeptem wypowiedział zwyczajnie: „Dobranoc, kochanie”.

Leżał z przymkniętymi oczami, po cichu oddychał. Strach go ogarnął, bowiem otwarte w jednej chwili bramy do otchłani starości wydały mu się mgieniem śmierci — nieukojoną wędrownką jego świadomości zatracającą pamięć o młodości.

Z rosyjskiego przełożył
Michał Lesiów

● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

Patriotyzmu kształt literacki

Alina Aleksandrowicz

w świadomości polskiej połączyły się ze sobą i zespoliły dwie stałe w literaturze obecne role pisarza: krzepienia serc i rozdrapywania ran. „Trylogia”, która zawsze w latach niewoli pełniła funkcję rekompensacyjną, ukazywała przeszłość w wizji rycersko-baśniowej; krzepiała serca. Powieści Żeromskiego realizowały patriotyczny imperatyw rozdrapywania ran, „żeby nie zabiły się błoną podłości”. W dziele edukacji historycznej mają swą niezastąpioną część stałe popularni pisarze nawiązujący do historii: Ujejski, Wyspiański, Sienkiewicz, Żeromski i inni. Jakubowski im właśnie poświęca odrębne studia i artykuły, bada ich drogi twórcze, analizuje najwybitniejsze dokonania artystyczne. Wartości patriotyczne dochodzą do głosu w literaturze w różnoraki sposób: poprzez związek z ziemią rodzinną i najbliższym krajobrazem („Żeromski i Ziemia Sandomierska”), protest przeciwko niewoli i poniżeniu („Z rodu Wajdelotów”), czynne zaangażowanie w walce z nadciągającą grozą faszyzmu i wojny („Wczesne piarstwo A. Struga”), podejmowanie wątków trytejskich itd. Wydobywa również J. Z. Jakubowski te wartości, które przepięknie w pryzmacie ludowej wizji świata wyrażają się najpełniej poprzez od wieków ustalone prawdy o związku człowieka z ziemią, która go wydała, o „świetał matce wszechrzeczy”. Ową kult agramny stopiony z kultem

„patrii” ukazuje autor na przykładzie wybranych fragmentów twórczości Jana Kasprówicza, który „nasycił swoją twórczość tyłu obrazami ziemi rodzinnej i tak serdeczną refleksją nad losem ludzkim, nad losem polskim, że musimy przyznać, że była to poezja — raz jeszcze odwołajmy się do słów poety — ojczyzny pełna”.

Znamienne tytuły trzyczęściowej książki prof. Jana Zygmunta Jakubowskiego akcentują mocno myśl przewodniczącą prezentacji wybranych autorów i ich dzieł: „Pisarze polskiego losu”, „O potrzebie pisania wierszy — patriotyzmu kształt liryczny”, „W kręgu publicystyki walczącej”.

Związek z przeszłością narodu i jego kultura jest bardzo istotnym elementem kształtowania świadomości współczesnych Polaków. Nie chodzi oczywiście o „wskrzyszanie zmarłych”, lecz o problem tradycji żywej. Szczególnie cenny jest w książce nakaz nie odrzucania z lekceważeniem „piękna i mądrości wieków”, utrwalenia i rozszerzenia spadku kulturalnego i literackiego różnych epok. Tradycję pojmujemy bowiem autor nie jako zespół dawnych ksiąg, do których się wraca, ale jako zrozumienie miejsca w rozwoju narodu i ludzkości. Tradycja w tym pojmowaniu nie odrywa się od teraźniejszości, lecz wydatnie pogłębia kontakt z dniem dzisiejszym. Kapitalnym przykładem refleksji nad rolą tradycji „budującej” jest w książce J. Z. Jakubowskiego analiza „Widły” Żeromskiego. Właśnie w tym mało znanym poemacie publicystyczno-opisowym mówi pisarz o konieczności podjęcia dzieła „Kamienia Wielkiego” i dążenia do „wielkiej okalającej rzeźby”. „Wiatr od morza” natomiast jest swi-

decywnym zrozumieniem, iż losy narodu polskiego rozstrzygają się w walce o odzyskanie ziem nadmorskich i zachodnich. Nie trzeba jednak mnożyć przykładów, czy ograniczać spostrzeżeń do wskazania genetycznych wizji przyszłościowych naszej literatury. Tradycja żywa to również impuls inspirowany, a twórcze spotkanie spuścizny literackiej z nowatorstwem przynosić może dzieła o dużej sile oddziaływania („O twórczości Władysława Broniewskiego”).

Od pojęcia „narodowy” przechodzi często autor do pojęcia „uniwersalny”. Nie są to bowiem według słusznej opinii J. Z. Jakubowskiego pojęcia wykluczające się, czy antagonistyczne. Liczne podane przykłady przekonują, że twórczość pisarzy o rozgłosie światowym wyrasta często z gleby rodzimej, z trafnego uchwycenia cech najbardziej reprezentatywnych dla danego kraju. W ramach tych dociekań przedstawia J. Z. Jakubowski narodowy i uniwersalny zarazem charakter wielu wybitnych pisarzy polskich. Nie zaskakuje więc w książce prezentacja twórczości Juliana Kawalca. Według autora rozpraw o literackim kształcie patriotyzmu — ambitnie i dociekliwie przedstawiony temat wijski jest zawsze tematem ogólnopolskim, a „w twórczej syntezie współczesnych doświadczeń artystycznych literatury światowej z tradycją literatury narodowej i jej ludowych elementów tkwi szansa, o jakiej marzą nasi pisarze, szansa zdobycia wartości uniwersalnych”. Inna rzecz, jak dodaje Jakubowski, że droga do rozgłosu światowego jest łatwiejsza dla pisarzy reprezentujących naród o dużej pojeździe politycznej i piszących w języku o światowej randze.

Książka Jana Zygmunta Jakubowskiego „Dokąd, ale i skąd idziemy” podejmuje problemy istotne nie tylko dla literatury, ale i szeroko rozumianej tradycji. Napisana przystępnie, ciekawie i z literacką swadą stanowi cenny głos w rozważaniach na temat pojęcia ojczyzny, narodu, niepodległości, tradycji — a zatem pojęć leżących u podstaw historii, historii kultury i literatury.

Jan Zygmunt Jakubowski: „Dokąd, ale i skąd idziemy”. Wyboru dokonała Jadwiga Jakubowska. Warszawa 1977. Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Nakład 16 000 egz. Cena 43 zł.

Nie ma poety bez nowych wartości, bez nowych wrażeń danych człowiekowi. Bez tego daru, który sprawia, że ktoś pochylony nad kartą zadrukowaną wierszem odkrywa nieznane sobie obszary swego duchowego jestestwa. Dużo, bardzo dużo. Ale Konstanty Ildefons Galczyński byłby tylko jednym z dobrych, gdyby zapisał się wyłącznie tymi dokonaniami. Galczyński to nowy język polskiej poezji.

Cóż można? Można uciec się do określeń mówiących o niebywałej oryginalności i inwencji twórczej, o wyczułonej wrażliwości na piękno i urok świata, o szerokiej skali percepcji rejestrującej fakty dnia powszedniego i zjawiska niezwykle. Określenia — jak kontury twarzy, których wyrazu nie widać. Bo opisać poezję Galczyńskiego można tylko posiadając tę siłę słowa, jaką sam dysponował. Tu niemożliwa jest definicja, tu możliwa jest autodefinicja, tę dał poeta swoją twórczością. Jakże olśniewająco prosto, kiedy przyszło powiedzieć o tym stricte! „Moja poezja to są proste dziwy”. Zestawmy to sobie z zamaszystością przecież ciekawych, przecież trafnych samook-

że ten poeta tak prawdziwy, tak oryginalny miał tak trudny dostęp do pism profesjonalnie literackich. Drukował w „Przekroju”. Któremu chwala za to. A drugie znamię paradoksu — że ten niby niezrozumiały eksploatator rozwichrzonej wyobraźni, kpiarz egzorcyzmujący zdrowy rozsądek, miał tylu czytelników właśnie wśród publiczności nie wykształconej na literackich sensacjach. Ba, pisał dla nich nie tracąc niczego z najistotniejszych walorów swojej oryginalności. Pe wnie, że nie wszyscy go jednakowo przyjęli. Ale jakże wielu pogan z czasem dało się ochrzcić wodą ze źródła Hipokrene!

Jeśli dzisiaj się tu i tam słyszy, że Galczyński to poetycka czytanka, że łatwizna, to... No tak, najłatwiej odwrócić kierunek zarzutu. I według tych wszystkich, dla których ten poeta zostanie niedostępny, mówić o ich poetyckiej niekompetencji jest tylko mechanicznym, odwróceniem zarzutu. Jeśli sami piszą, można ich zrozumieć. Nie naśladuje się wzorów zanadto wymagających. Zresztą ich „indyferentyzm” potwierdza regułę, że prawdziwa poezja naśladowców nie ma. Wielkie nieba. Czy wprost można sobie wyobrazić, naśladowcę Gal-

Konstanty Ildefons Galczyński

OJCZYŻNA

Córea

Wiele pieśni na świecie
ze stulecia na stulecie,
ale jest ten jedyny,
z samej głębi, z głębiny;

od kolebki do grobu
ton ten idzie za tobą;

byle szmer, byle nuta,
a już wiesz, że to tutaj:

szymba w słońcu uśpiona —
pelargonia czerwona;

parę gwiazd, parę ptaków,
a już wiesz, skąd ten akord;

listek upadnie w strumień,
a już serce rozumie,

zamyśli się, wypowie,
a co w sercu, to w mowie,

w mowie dziada, pradziada,
co szmerliwa jak trawa,

co się krzewi fallicie,
raz jest słowem, raz liściem,

raz pagórkami, raz chmurą,
porą roku poczwórną,

śniegiem, ptakiem, błękitem,
Szopenem i Norwidem.

Struna ze struną gada,
czas swe wzory układa.

Treść najgłębsza, najszczerza
jarzy się w tyglu serca;

światło pada wysokie
na pracę, na chorągiew —

i jednym światłem świeci
ruch rąk i ruch narzędzi.

I znów iskrzy się nocka
jak lampa szopenowska;

dźwięk skrzypiec nad ulicą;
pelargonia w księżycu,

ciężka gwiazda nad świerkiem;
i znów blask zorzy wielkiej.

Kraju mój, kraju barwny
pelargonii i malwy,

kraju węgla i stali,
i sosny, i konwalii,

grudka twojej ziemi w ręku
świeci nawet po ciemku;

tyś mój w śniegu, w spiekocie,
tu dziad spoczął, tu ojciec;

trawa, trawa szmerliwa
białe kości okrywa.

A nam, którzyśmy w drodze,
niechaj flaga łopocze,

żeby dźwięczał dźwięk kielni
najcelniej, najrzetelniej —

żeby siła w ramionach,
żeby trud nasz wykonać —

przy stali i przy zbożu,
na lądzie i na morzu —

żeby blask szedł z dni naszych,
dni mozolnych, odważnych,

w wiek sławą złotolistną,
nuta święta, ojczyżno.

1952

POEZJA NIE UMIERA

Zygmunt Mikulski



nieleń innych poetów. Czy u tego jednego wyraziła się tylko skromność? Wyraziło się to czarnoksiężskie władanie słowem, które przenosi jego znaczenie poza sferę logicznych, czy semantycznych prawideł.

Słowo Galczyńskiego znaczy więcej niż znaczy. I to się stało powodem nietrafności sądów o nim ze strony tych, którzy powodują się miarką arytmetyczną nie mając miary muzycznej. Że za dużo księżyców, za dużo słowików, za dużo mandolin. „Ograne rekwiizyty”. Czy sądzili, że Galczyński nie zdawał sobie sprawy z tej ilości? Sam mówił: „Tyle tu tych piękności, ptaków, różnych pobrzękań, złocistości, srebrzystości, księżyców, Bachów i świateł”. A czy nie czujemy w tym cienkiej — bardzo cienkiej — ironii pod adresem koneserów i korektorów? Bo na czym — u boga Apollina — ma polegać poezji odnowicielskie władztwo nad słowami, jeśli nie na możliwości uwolnienia ich z niewoli automatycznych, narosłych wiekami nawyków kojarzeniowych? Każde słowo Galczyńskiego było użyte po raz pierwszy. Słowo jako wyraz poetycki, nie jako pozycja w leksykonie. A tylko w tym drugim znaczeniu widzieli je niektórzy poeci, szczególnie spod znaku „Zwrotnicy”. Sami sobie tym dając świadectwo.

Trafiał na trudny czas. Jakże łatwo było mówić o „drobnomieszczańskim kanarku”, wkładając w to rzekomo dyskretny podtekst natury politycznej. Latwo i koniecznie, gdy nie wystarczało — w praktyce pisarskiej — kontrargumentów natury artystycznej. Na kanarka rzuciły się wróble.

Ale nie czytelnicy. Czytelnicy rzucili się czytać. Właśnie. Osobliwe signum temporis.

czyńskiego? Musiałby się nie znać na poezji. Przypuszczenie oplera się na zasadzie błędnego koła. A że Galczyński nie jest dziś powszechną czytelniczą strawą? Jakże rozumiałe. Ostatecznie podać ma zdolność kształtowania popytu. A czy na przykład niejaki Leśmian byłby cokolwiek znany, gdyby nie wszedł w program któregoś z modnych piosenkarzy? Który tę poezję potraktuje jako „tekst” towarzyszący wrzeszczance? A Czechowicz, a Pawlikowska? Poezja jest dziś akompaniamentem, z konieczności tolerowanym akompaniamentem, wyczynów estradowych. Wier gdzie szukać przyczyny, że autor „Niobe” nie ma zbyt wielu czytelników? Niech się ukaze jej „luskusowe”, wymyślną grafiką upstrzone wydanie, a ogonki przy ładzie się znajdują. Ewentualnie wydawniczy — oto co jest ważniejsze od przekazu wartości artystycznych.

Są jednak oznaki, że niż czytelnicy co do Galczyńskiego zaczyna ustępować tendencjom zwykłym. Nie programy telewizyjne z „Zieloną gęsią”, deformacje i wymowę tekstów i samą fakturę tego słowa w tak jedyny sposób łączącego groteskę z najczystszej wody liryką. Nie kabaretowe kawalki przesadnie aranżujące utwór środkami estradowymi, jakby ta poezja wymagała podporęk reżyserskich pomysłów. Dzięki tym pomysłom jest właśnie nieczytelna. W rozmowach tu i tam słyszy się nazwisko poety, a także coś z jego strof. W konkursach recytatorskich znajduje miejsce z potrzeby serca. Są oznaki, że powstaje dążność do ocalenia od zapomnienia tej poezji, która chciała i „twoje ręce” i „twoje serce” i „blask naszej lampy” i „ten błysk na szybie”, a nawet „te trzy lby wronie” — ocalić od zapomnienia.

Śmierć 6 grudnia 1953 r. położyła kres życiu człowieka. Nie jego dzieła, nie pamięci o nim.

UROJONA KANTYNA

Czekolada i chałwa, i malpki,
takie z pluszu, brązowe, dla dzieci,
oczywiście: jest noc i śpią ptaki,
i naturalnie księżyc świeci.

No i sunie kantyna na kółkach,
i jest Wiosna z Gracjami trzema,
i kakao, i z szynką bułka,
tylko właśnie, że tego nie ma:

Urojona kantyna,
urojona dziewczyna,
jeden księżyc jest tylko realny,
jeden wiatr, bo z południa, upalny,
jeden lok, bo zalotny, ze złota,
i tęsknota, i trochę noc.

II

Jeśli nawet, powiedzmy, bomba —
i świat cały zwali się w gruzy,
to drobnostka, bo wszystko od nowa
będzie kwitnąć, no i ten muzyk
się odnajdzie ukryty w organach,
w tym ostatnim zburzonym kościele,
a na drodze S-13
będzie dużo, choć tak niewiele:

Ta piosenka o tej kantynie
zaplątana w liściach jak lotnik
i ten lok po tej dziewczynie,
taki złoty, taki zalotny —

i z piosenki znów życie powstanie:
jak dwa kwiaty — dwa cienie na ścianie,
z kwiatów rzęsy, a potem oczy,
żeby lotnik miał czym się zamroczyć —

by kantyna się stała realna,
a księżyc nie, a noc upalna,
żeby dzieci szumiały jak trawki
i zabawki śpiewały im:

Urojona kantyna,
urojona dziewczyna,
jeden księżyc jest tylko realny,
jeden wiatr, bo z południa, upalny,
jeden lok, bo zalotny, ze złota,
i tęsknota, i trochę noc.

1946

NOS

Jerzy Wilmański

Było dziesięciu Murzynków,
Elatów dwadzieścia miało,
Jednego zwinęła kontrola,
Dziewięciu pozostało.

Dziewięciu cwanych Murzynków
Podpisało się pod donosem,
Lecz jeden niewyraźnie —
Została cyfra osiem.

A zatem ośmiu Murzynków
Wysiadło na dworcu w Wiedniu
I jeden odmówił powrotu
Zostało Murzynków siedmiu.

Lecz kiedy siedmiu Murzynków
W granicznym jakimś przejściu
Otworło swoje waltzki —
Zostało Murzynków sześć.

Cała szóstka Murzynków
Pragnęła kupić Fiata,
Lecz tylko jeden żyrował,
Umarł po pięciu ratach.

Pięciu dorodnych Murzynków
Obrosło w bogate piórka,
Jednemu dali domiar,
Została tylko czwórka.

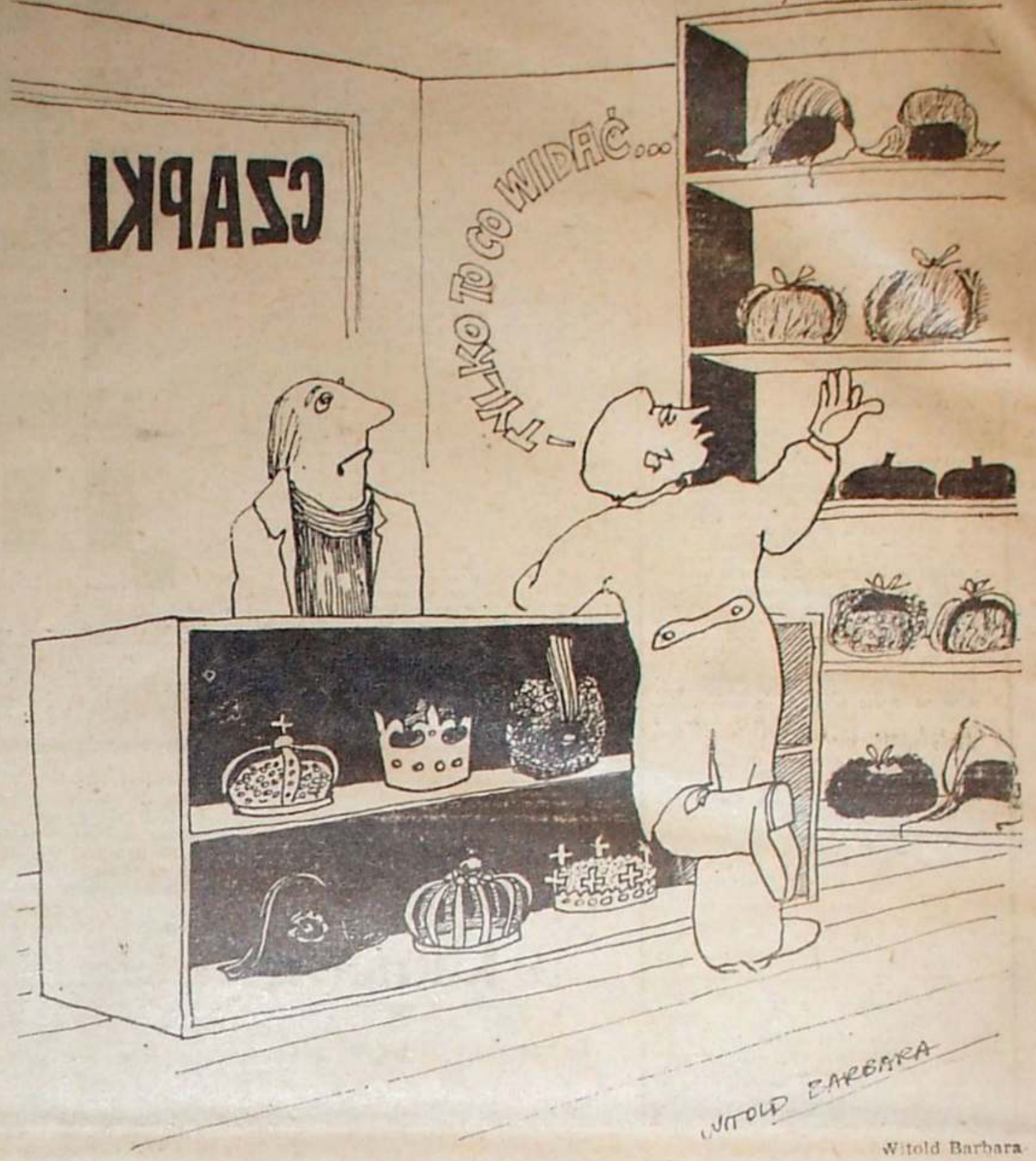
Wieczorem czterech Murzynków
Do brydża sobie zasiadło,
Jeden przegapił szlema
I z żalu mu serce wysiadło.

Została trójka Murzynków
i knajpę w ajencję wzięli,
Jeden z nich rąbnął kasę
i tyle go widzieli.

Dwóch pozostałych Murzynków
krajowym raczyło się winem,
Któryś z nich wypił za dużo
i został jeden Murzynek.

I ten ostatni Murzynek,
co życie miał smutne i szare
Też skończył podle i marnie:
w Lublinie założył kabaret.

DZIESIĘCIU MURZYNKÓW



WITOLD BARBARA
Witold Barbara

AKTUALIA

● Jak się dowiadujemy, dyrekcja PUPIK-u w Lublinie otrzymała ofertę dotyczącą dostawy wprost z fabryki pasty do butów Luze m (w beczkach). Z oferty nie skorzystano. A szkoda!

● CUGOW:

Poetów są całe rzesze,
Tej nacji nikt nie orzeleży,
Witaj nam nowy poeto —
Trampkarzu u Czechowicza.

● Jean Cau: Sam zbyt wiele czyta, aby dać się czytać

● Kazimierz Koźniewski: Spotkania autorskie — ja-jeczko częściowo nieświeże.

Przygotował: Ryszard Dunin

Dominik Opolski

MYŚLI

I wyziewy z kuchni tworzą atmosferę.

— ● —

Ucharakteryzuj się na suflera i podpowiadaj mu.

— ● —

Napisał to z pazurem: krew bohaterów ma na rękach.

— ● —

I cień plami człowieka.

— ● —

I uśmiech fortuny może się skończyć chichotem.

— ● —

Należałoby ustanowić niejedną rocznicę zapomnienia.

— ● —

Wpadł w nielaskę. I tam przeczekał najgorsze.

— ● —

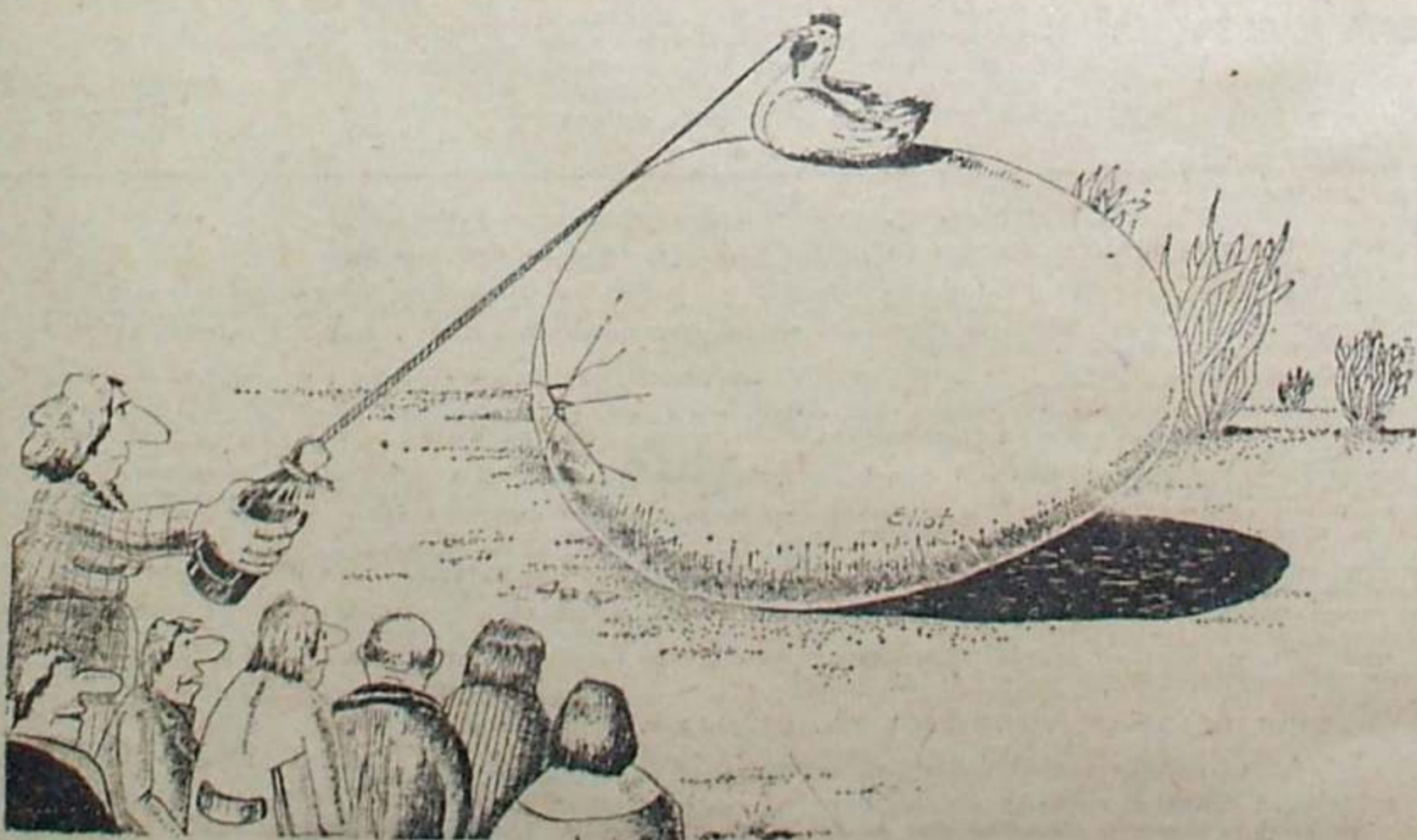
Protestujemy przeciw utworzeniu urzędu architektwa wnętrza ludzkich.

— ● —

Ma ogólnodostępne znaki szczególne.

— ● —

Nałatwiej dzielić włos na tysiąc.



Rys. Jerzy Lipiec